Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

# Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 25 października 1936 r. Nr. 43



## SPÓJRZ Z ODDALI

Kiedy smutek nagle w serce zakołacze
I oczy przysłoni mgłą bólu czy żalu —
Wyjdź hen, poza siebie i spójrz gdzieś z oddali
Na troski, co drogę twoją smutkiem znaczą.

Zmaleją strapienia, stracą na swej sile
I odzyskasz wkrótce znowu spokój ducha:
Bo gwar, co ogłusza, gdy się z bliska słucha
Jest szmerem łagodnym — zdala (słuchaj chwilę...)

Więc — gdy smutek nagle w serce zakołacze,
Z uśmiechem pogodnym spójrz na niego z dali
Płomień ogrzeje cię, a nie spali,
Jeżeli odległość od niego jest znaczna.

*Danuta Wyrybkowska.*

4)

# Nienawiść a miłość

## czyli tajemnica zamku Felseg

— Jakiś wilgotny kamień!? A to co? to nie ściana jego pokoju!

Przerażenie jego tak się wzmogło, że prawie omdlały opadł na poduszki.

Nagle pojął, że jest w podziemiu swego zamku.

Znał je z lat dziecinnych.

I uświadomiwszy sobie, gdzie jest, krzyknął przeraźliwie.

— Żywcem pogrzebany! — Żywcem pogrzebany! — powtórzyły echa pod sklepieniami.

Wstał i w rozpaczy szukał wyjścia.

Znał to miejsce i wiedział, że tu można się tylko dostać z zewnątrz, ale mimo to sądził, że może znajdzie jaki otwór.

Biegł po piwnicy tak długo, aż go siły opuściły i padł na ziemię.

Padając, szepnął drżącymi ustami.

— Żywcem pogrzebany!

Niemoc i omdlenie opanowało go.

### ROZDZIAŁ XIII.

### Pan i sługa.

Mayer nie założył hamulca zjeżdżając z góry zamkowej i pędził na złamanie karku.

Przybywszy do domu, oddał bryczkę w stajni i skradał się na palcach do żony.

Był już biały dzień.

Okiennice były otwarte — wewnątrz żona przed lustrem splatała włosy.

Popatrzał na nią czule, potem huknął jej głośno dzień dobry!

Odwróciła się i powitała go z widoczną radością.

— Przywiozłeś kolczyki? — spytała żywo.

— Nie.

Natychmiast wesoła mina znikła z jej twarzy.

Zadąsana wysunęła się z jego ramion.

— Nigdy mi nic nie kupisz! Ładna ta miłość twoja! — złościła się.

Dumnie podniosła głowę i nie spojrzawszy nań nawet, wzięła skopek i poszła do obórki doić kozę.

Mayer zaklął i poszedł do zamku.

— Czy pan hrabia wstał ? — zapytał.

— Tak jest.

— Mam rozkaz zameldować się natychmiast u jaśnie pana.

Lokaj poszedł hrabiemu oznajmić.

— Zaraz niech wejdzie — rozkazał hrabia.

— Sprawa niby załatwiona — bąknął nieśmiało Mayer, stając przed panem.

Hrabia otworzył portfel i wyliczył mu banknotami tysiąc guldenów.

— Masz — wyjeżdżaj natychmiast.

— Jaśnie panie, proszę mi darować, że jeszcze się spytam o coś — zebrał się na odwagę Mayer. Gerhard przysięgał mi, że jaśnie panicz nie długo zostanie w podziemiu. Czy mogę mu wierzyć?

— Tak jest — odpowiedział spokojnie hrabia.

— Do czego mam się tak śpieszyć na złamanie karku? Wolałbym przed odjazdem jeszcze zobaczyć jaśnie panicza zdrowym i wolnym.

— Może być spokojny — zapewniał hrabia — a tu nie możesz zostać, bo mógłbyś się wygadać i plan mój zniweczyć. Możesz iść. Powiedz, żeś dostał spadek, albo coś innego, by wytłumaczyć to, że masz pieniądze.

— Mówiłem, żem wygrał na loterii.

— Dobrze, dobrze — możesz odejść. Liczę na to, że będziesz milczał.

— Dziękuję posłusznie — mówił Mayer pakując do kieszeni banknoty. Jeszcze muszę sprzedać kozę i kurczęta.

— Kupuję je — odrzekł hrabia. Masz tu trzydzieści reńskich, i sprawa załatwiona.

Rudy skłonił się niezgrabnie i wyszedł.

— Zuzia — rzekł w domu do żony — jedziemy do Ameryki.

— Zamiast robić głupie żarty, nanieś mi drzewa suchego, bo to się nie chce palić.

Rzuć to żebracze gotowanie, w Ameryce będę ci trzymał służbę, palcem sama nie ruszysz! Będziesz siedziała na kanapie i jadła i piła i nie potrzebujesz nic robić.

— Myślisz durniu, że za tych 25 reńskich zajedziesz do Ameryki? Ani pół drogi nie zrobisz!

— A jeśli mam więcej? — spytał chytrze.

— Co? więcej? — spytała żona bez tchu i rumieńcem okryła się jej twarz.

— Dużo więcej — odparł krótko.

— Mój złoty — ile?

— Dużo.

— Żartujesz — durnia ze mnie robisz — wstydziłbyś się.

— Nie żartuję! — zapewniał rudy.

— No, no, pokaż pieniądze — rzekła głaszcząc go po brodzie.

Nie mogąc się oprzeć pieszczotom, wyjął pieniądze i pokazał jej.

Chciwie oglądała banknoty i za każdym wydawała okrzyk radości.

— Idę do miasta — rzekła — kupię sobie jedwabną suknię i kapelusz z kwiatami i tak w niedzielę pójdę do kościoła. A to się będą dopiero gapić na mnie! Będę najładniejszą tutaj.

— I tak jesteś najładniejsza. Ale pakuj teraz manatki. Jędrzej ma zaprzęgać wóz drabiasty, by nam odwieźć rzeczy.

— Dlaczego? Powóz niech nam zaprzęgnie. Nam nie wypada jechać wozem.

— Ależ powozem nie zawieziemy rzeczy. Przecież to wszystko zabierzemy ze sobą.

— Co? ty naprawdę myślisz jechać do Ameryki?

— Naturalnie!

— I nikt tu nie będzie widział moich pięknych sukien, które kupię!? Co mi potem, że będę miała suknie, jak mnie w nich nikt nie będzie widział. Przynajmniej kilka tygodni jeszcze musimy zostać. Mój złoty, zrób to dla mnie!

— To niemożliwe!

— Dlaczego? — zaperzyła się Zuzia — jesteśmy bogaci, a dla bogatych wszystko jest możliwe.

— Bo pan hrabia ma już innego stangreta, któremu musisz ustąpić domek.

— Żartujesz — zaśmiała się Zuzia — a czyż na to niema rady? Weźmiemy sobie tymczasowo mieszkanie w zajezdnym domu, tak jak wielcy państwo, aż wszystkich z zazdrości żółtaczka opadnie. A to będzie pyszne! Ha, ha, ha... — śmiała się serdecznie.

— Nie można, Zuzio — bronił się Mayer.

— Dlaczego? — złościła się Zuzia, tupiąc nogą.

— Pan hrabia nie pozwala.

— On nie ma nic do rozkazywania! — zawołała zaczerwieniona — on już nie jest naszym panem, ani ty jego sługą. Zostajemy tu i koniec!

— Nie, jedziemy natychmiast! — zawołał Mayer zły już i uderzył pięścią w stół. — Ja jestem panem domu, a ty masz słuchać! Rozumiesz!? Idę po Jędrzeja, za kwadrans wracam, i wszystko ma być popakowane!

— Spieszysz się tak, jakbyś te pieniądze ukradł i uciekał przed policją.

— Musimy się spieszyć, żeby okręt jeszcze zastać. Szczęście nas czeka w Ameryce, więc czegóż zwlekać i pozwolić mu uciec?

Wyszedł dumny, że w sprzeczce małżeńskiej zwyciężył.

— O, to coś podejrzanego! — myślała sobie Zuzia — coś w tem musi być. Każdy rudy jest niedobry, już ja się dowiem, co to się stało. Może okradł hrabiego? To pewne, że musimy uciekać.

Ta myśl naglila ją do pośpiechu.

W jednej chwili zakrzątnęła się koło roboty i skończywszy, siadła na krzesło, czekając.

Wkrótce nadjechał wóz, załadowano nań graty i ruszono w drogę.

— Bądźcie zdrowi! — zawołał wesoło Mayer służbie, ciekawie gapiącej się na ich odjazd nagły. — Jedziemy do Ameryki, może kto z nami!?

## ROZDZIAŁ XIV.

### Ostatnia próba

Egon wcale się nie nudził w Königswalden. Był o tyle ostrożny, że zabrał ze sobą spis swoich długów w tem błogiem przekonaniu, że wspaniałomyślny krewniak zapłaci je.

Zaraz nazajutrz po przybyciu do Königswalden, stary hrabia zapytał:

— Pozwól mój kochany, że ci postawię pytanie, czy masz jakie zobowiązania? Żyjesz w Wiedniu, a w wielkim mieście ma się wielkie wydatki.

Egon z iście ujmującą szczerością wyliczył spis swoich długów.

— Muszę się przyznać — dodał nakoniec — że mi te długi bardzo dokuczały.

— Już ci dłużej nie będą dokuczały — zapewniał hrabia Wildenstein — zapłacimy dziś jeszcze.

— Jak to, ty chciałbyś — zawołał Egon, udając zdumienie, chciałbyś mnie wyratować z tej fatalnej sytuacji?

Umiał się tak maskować, że nie trudno mu było udać wzruszającą wdzięczność.

— Ale czy mogę przyjąć tę ofiarę — rzekł skromnie — czy Werner nie będzie się czuł pokrzywdzony?

— Werner nie jest zazdrosny — rzekł hrabia Wildenstein. — Porozum się z moim sekretarzem, któremu polecę, żeby ci wypłacił daną sumę. Co do reszty dnia, musisz mi wybaczyć, że chcę sam zostać, bo czuję się niezdrów.

Egon życzył mu rychłego polepszenia, a w duchu rad był z takiego zbiegu okoliczności, bo wobec hrabiego czuł się zawsze nie swój i skrępowany.

— Kredyt mój był już wyczerpany. — pomyślał sobie. — Teraz przez zapłacenie długów otwiera mi się na nowo. Teraz muszę starać się pozyskać starego dla siebie i wykorzystać nieporozumienie między nim a Wernerem. A trzeba mi się spieszyć, bo on jest stary... powiada że jest niezdrów... nie można wiedzieć.

Hrabia przez cały dzień nie wychodził.

Nazajutrz również został w pokoju i kazał przeprosić gościa, że jest chory.

Gdy to Egonowi oznajmiał lokaj Edward, Egon zauważył, że to nie ten sam, co był dawniej i zapytał: — A gdzież tamten, stary Gerhard?

— Przepraszam bardzo, panie baronie, na to nie mogę dać odpowiedzi.

— A dlaczegoż dom stangreta pusty? Widziałem tam przystojną kobietę. Cóż się z nim stało?

— Wygrał dużo pieniędzy i wyjechał do Ameryki.

— Szkoda, że żony nie zostawił. Wczoraj przechodząc koło leśniczówki, widziałem bardzo przystojną panienkę. Kto to był?

— To panna Sylwia, córka leśniczego Herberta.

Aż służącemu dziwnem się wydało, że baron pyta o kobiety i panny, a na myśl mu nie przychodzi pytać o chorego wuja.

Egon kazał sobie osiodłać konia i pojechał do leśniczówki.

Nie zobaczywszy Sylwii w ogrodzie, wstąpił do dworku i poprosił o szklankę mleka.

Zastał tylko starą Katarzynę.

— Gdzie panienka? — zapytał.

— Pojechała z panią do miasta.

— Kiedy wróci?

— Nie wiem.

Egon odjechał niezadowolony.

Przypuszczał, że uda mu się za jednym szturmem zdobyć serce młodej panny i to mu się nie powiodło. Zły i zmęczony wrócił do domu. Około godz. 10-tej wieczorem z nudów chciał się położyć spać.

Wtem, zdziwił się, usłyszawszy niezwykły szmer w zamku. Spojrzał przez okno i ku wielkiemu swemu zdziwieniu zobaczył starego hrabiego.

Gnany ciekawością, wybiegł z zamku i pokryjomu cichaczem szedł za nim.

Stary zdążał ku stajni.

Tam stał przygotowany lekki powozik.

Stary hrabia odprawił stangreta i sam powożąc, odjechał.

Zdziwienie Egona nie miało granic.

Byłby chętnie pojechał za nim, aby go szpiegować, ale bał się zdradzić, bo stary byłby mu tego nigdy nie przebaczył.

Stary hrabia jechał rzeczywiście do Felseg.

Jechał prędko, a na twarzy miał dziwny wyraz jak gdyby z życiem już się był rozprawił. Jeszcze go tylko zajmowała myśl o Wernerze.

Obawiał się, że jego upór będzie nieugięty, a on ustąpić nie mógł. Myśli te nie skracały mu drogi, tylko przedłużały je w nieskończoność.

Nareszcie podjechał pod zamek, z którego wychyliła się właśnie głowa Gerharda z drugiego piętra.

— Jaśnie pan wybaczy, natychmiast otworzę. Bardzo dobrze, że jaśnie pan przyjechał! — rzekł, otwierając mu bramę.

— Jakże? — zapytał niespokojnie stary hrabia.

— Kamień by zmiękł, gdyby mógł słyszeć, co jaśnie panicz tam wyprawia! — rzekł, lamentując stary sługa. — Dobrze, że się to już kończy, bo dłużej nie mógłbym na to patrzeć. Nie tknął wcale potraw, nic nie jadł ani nic nie pił przez te dwa dni, a to mogłoby się bardzo źle skończyć, taki jest zrozpaczony.

Hrabia wziął mu z ręki latarkę i wyprzedzając go, poszedł do owego skrzydła, gdzie znajdowały się drzwi, prowadzące do piwnicy.

Hrabia nacisnął sprężynę i w jednej chwili drzwi odskoczyły i w czarną czeluść podziemną wpadło światło latarni. Werner zerwał się na równe nogi, ożywiony nadzieją.

— Kto, tam? — zawołał.

— Przychodzę, aby zapytać, czy żałujesz oporu i przyrzekasz poprawę? — rzekł hrabia.

— Nie popełniłem nic złego, więc nie mogę przyrzec poprawy.

— Przyrzeknij mi, że ożenisz się tak, jak tego twój stan i urodzenie wymaga?!

— Nie, ożenię się ze swoją narzeczoną, skoro tylko będę uwolniony z tego strasznego więzienia. Jakiem prawem trzymają mnie tutaj? Jak możesz przenieść to na sobie, żeby mi zadawać takie męki piekielne. Uwolnij mnie, dłużej nie zniosę tego i zwarjuję, albo popełnię samobójstwo, jeżeli mnie jeszcze przez godzinę zostawisz tu w piwnicy.

— Przysięgnij, że zapomnisz o swojej kochance. a będziesz wolny?

— Raczej umrzeć, niż się sprzeniewierzyć. Żadne męki, ani udręczenia nie skłonią mnie do złamania wierności.

— Namyśl się, chłopcze! — mówił ponuro hrabia. — Pomyśl, jaki to nierozważny krok. Masz wybierać wolność i niewolę, nieszczęście i szczęście. Wczesną śmierć bez chwały, a pełną męki, a długie życie, pełne sławy i radości. Wybieraj. Skoro uporu swego się nie wyrzekniesz, drzwi te zapadną się nad tobą i będziesz żywcem pogrzebany. Przełam swój upór, przyrzeknij mi, że zapomnisz o tamtej dziewczynie, a wrócisz do życia. Wybieraj.

— Na szlachectwo moje, którego nie splamię wiarołomstwem, przysięgam, że raczej zginę marnie, niżbym miał złamać słowo, nie dotrzymać przysięgi i opuścić narzeczoną.

— Opamiętaj się! — prosił Wildenstein znowu. — Jesteś na rozstajnej drodze. Ostatnia to moja próba złamania twego uporu. Jeżeli się nie ugniesz, skutki będą straszliwe. Przestaniesz żyć dla świata i tutaj będziesz wiądł pod ziemią i gnił za życia.

— Ale zginę jako człowiek honorowy.

— Czy to ostatnie twoje słowo? — zapytał hrabia Wildenstein, blednąc.

— Tak, ostatnie słowo! — odpowiedział Werner.

— Niech ci Bóg będzie miłościw! — rzekł hrabia, cofając się, a nad nieszczęśliwym młodzieńcem z trzaskiem zapadły się wrota piwnicy.

## ROZDZIAŁ XV.

### O złoto

W korytarzu czekał na hrabiego Gerhard.

— No i co? — zapytał trwożnie.

— Uparty. — ponuro odpowiedział hrabia.

— I cóż my teraz zrobimy?

— Przeczekać trzeba.

— Przeczekać! — wrzasnął trwożnie stary sługa.

— Jaśnie panie, my go zamordujemy, będziemy go mieli na sumieniu.

— Milcz! — krzyknął rozgniewany hrabia.

— Gdybym go teraz puścił, byłoby wszystko na nic. Ożeniłby się z tamtą i honor naszego domu byłby splamiony. Ostatni z rodu nie śmie splamić klejnotu szlacheckiego. Ja do tego nie dopuszczę.

— Ale za jaką cenę — zawołał Gerhard. — On umrze!

— On nie umrze, on ustąpi. On...

Hrabia zmienił się nagle strasznie i osunął się bezwładnie na ręce służącego.

Dobrą chwilę trwała ta niemoc.

Gerhard zaprowadził go do krzesła i przyniósł mu wina. Niebawem hrabia wstał i chciał odjechać.

Gerhard napierał się, że go odwiezie do domu i potem zaraz wróci.

Ponieważ hrabia nie odpowiadał, więc wziął kapelusz, wsiadł na kozieł i pojechali.

Hrabiemu zrobiło się gorzej po drodze.

Posłano po lekarza.

Nim lekarz przybył, pan na Königswalden jednak już nie żył.

Śmierć pana zrobiła takie wrażenie na starym słudze, że lekarz obawiał się o niego także i koniecznie chciał mu coś zapisać. Zażądał kluczów od apteczki domowej, bo Gerhard wymawiał się, że mu nic nie jest, tylko cierpi na bezsenność, więc lekarz chciał mu wynaleźć jakieś krople na sen.

— Trzeba zaraz zawiadomić hrabiego Wernera! — mówił lekarz, biorąc klucze od służącego.

— Tak jest, zaraz zawiadomię — powiedział Gerhard i upadł bezsilny na krzesło.

Lekarz przyrządził mu krople, ale ostrzegał, że więcej niż 15 kropel na dobę brać nie można.

— Dziękuję — słabym głosem odpowiedział Gerhard.

Lekarz przyrzekł wrócić nazajutrz.

Gerhard kazał Egona poprosić, żeby przyszedł do niego, bo jest chory, a ma mu coś powiedzieć.

Egon usłuchał natychmiast.

— Proszę mi wybaczyć, panie baronie — rzekł mu Gerhard — mam panu wyjaśnić ważną tajemnicę. Pan hrabia nie mógł się z hrabią Wernerem w ostatnich dniach zgodzić i wieść o śmierci starszego pana trzeba mu zawieść bardzo ostrożnie. Sam jestem chory, więc najposłuszniej chciałem poprosić pana barona, żeby mu to oznajmił.

— Napiszę mu.

— List do niego nie dojdzie; wszak on jest w podziemiu zamku Felseg.

— Co? Ależ to niemożliwe!

— Stało się to na polecenie starszego pana. Jaśnie panicz chciał zawrzeć mezalians i tylko w ten sposób starszy pan temu zapobiegł. Ale nikt nie śmie o tem wiedzieć, że jaśnie panicz był zamknięty, bo to naraziłoby na wstyd honor domu.

— Więc nikt o tem nie wie? — spytał chytrze Egon.

— Nikt prócz mnie i Alojzego — jęknął stary.

— Ach, tak mi nie dobrze. Pan doktor zaordynował mi krople.

— Gdzie stoją? — spytał Egon uprzejmie.

Gerhard wskazał słabym ruchem na stół.

Baron chciał część zawartości flaszeczki wlać do szklanki, gdy Gerhard poprosił słabym głosem, żeby dać tylko 15 kropel nie więcej.

— Ależ to morfina — zauważył Egon, przypatrzywszy się flaszeczce.

Nastało dłuższe milczenie.

Słychać było uderzenia wahadła zegarowego.

Egon spuścił oczy ku ziemi i powiedział zachrypłym głosem.

— Podam wam krople te zmieszane z wodą.

Nie czekając odpowiedzi starego sługi, krzątał się koło kredensu i podał choremu szklankę, z której zawartość staruszek wypił, nic złego nie przeczuwając. Egon cisnął flaszeczkę wypróżnioną o ścianę. Rozleciała się na tysiąc kawałków.

Brzęk tłuczonego szkła wyrwał z uśpienia Gerharda, w które już zaczął popadać.

— Na miłość boską, panie baronie, — zawołał.

— Idź pan do hrabiego Wernera i uwolnij go pan, bo on zginie.

— Nie bójcie się, natychmiast do niego pospieszę, — uspakajał go łagodnie Egon.

Umierający byłby się uspokoił, ale spojrzał w oczy barona i coś w nich zobaczył niedobrego.

Tknięty złem przeczuciem, rozejrzał się, uprzytomnił sobie, że baron stłukł flaszeczkę ale próżną; w jasnowidzeniu przejrzał szatański plan barona i ostatku sił dobywając, zawołał: Boże mój, co ja zrobiłem! Księdza! Księdzu powiem, gdzie się znajduje hrabia Werner. Pan mnie strułeś! Na pomoc! na pomoc! Ratunku!

Egon w tej chwili przyskoczył do niego i dłonią zatkał mu usta.

Konający starzec bronił się słabo.

Silniejszą jeszcze niż baron, była trucizna, już działająca.

Senność ogarnęła go i członki opadły bezwładnie.

Za chwilę Egon ostrożnie odjął dłoń od ust starca i z ukosa spojrzał na niego.

— Nie żyje — szepnął, ten już nie zdradzi. A nic mu w duszy nie powiedziało, ty jesteś jego mordercą!

Rozważnie i z zimną krwią, jak stary zbrodniarz, zaczął Egon zacierać ślady swej zbrodni. Wyczyścił szklankę, w której podawał mu truciznę. Wodę, której użył do płukania, wylał na dywan obok krzesła, na którem siedział zmarły, a kawałki stłuczonej flaszeczki pozbierał i położył na morkem miejscu dywana.

— Tak — szepnął, teraz będą myśleli, że mu flaszeczka z rąk się wymknęła i stłukła. Stary był chory, śmierć jego nikogo nie zdziwi. Nikomu na myśl nie przyjdzie poddać go sekcji.

Cichutko, jak złodziej, wykradł się do swego pokoju, starannie umył ręce w zwykłej wodzie, a potem w wodzie kolońskiej i rzucił się na fotel.

— Jeżeliby tak jeszcze Werner... myślał sobie.

Droga wiodąca z Felseg do Königswalden jest miejscami niebezpieczna. Werner mógłby przypadkiem wpaść do Czartowskiego Jaru.

— Sam pojadę — pomyślał sobie.

Z zadumy wyrwał go szmer szybkich kroków służby biegającej tam i napowrót, otwieranie i zamykanie drzwi, a za chwilę wpadł do jego pokoju stary Edward i zbladły zawołał: Proszę pana barona, Gerhard nagle umarł.

— Nie może być — udawał zdziwienie Egon. — Przed kwadransem jeszcze mówiłem z nim. Cóż to, apopleksja?

— Zdaje się, proszę jaśnie pana. Serce złamała mu śmierć pana hrabiego.

— Może on tylko zemdlał — powiedział Egon, zobaczę sam; gdzie on jest?

— W zielonym pokoju, tam gdzie jaśnie pan z nim mówił — odpowiedział Edward.

Egon byłby najchętniej zaprzeczył, że prowadził jakąkolwiek ze zmarłym rozmowę.

Serce mu biło, gdy wchodził do pokoju, w którym ofiara jego spoczywała na pluszowem krześle.

— Bez wątpienia — on nie żyje — rzekł przypatrzywszy się Gerhardowi dłuższą chwilę.

— A co to za kawałki szkła tu na dywanie? — spytał.

— Pan doktor dał mu jakieś lekarstwo — odpowiedział Edward On widać musiał próbować otwierać i pewno mu flaszeczka wyleciała z rąk.

— Dziwne, że stłukła się na takim miękkim dywanie — rzekła klucznica.

— Może już była pęknięta — dodała pokojówka.

— Ale pan doktor nie byłby użył pękniętej — dorzuciła druga.

Dla Egona była ta rozmowa prawdziwą męką.

Ukrywając zmięszanie, ukląkł na dywanie i wąchał zwilżone miejsce.

— Tu wylano morfinę — rzekł.

— Proszę jaśnie pana, — rzekła klucznica, morfina ma silny zapach gorzkich migdałów, a ja nic nie czuję.

— Musicie mieć katar — zawołał Egon, czuję zapach tak silny, że mi prawie dech zapiera. Bardzo to nieostrożnie ze strony doktora, że mu dał morfinę. Widać, że zmarły nie wiedział, o tem, że to jest trucizna i wziął jej za dużo.

— To niemożliwe — rzekła spokojnie, lecz stanowczo klucznica — doktor z pewnością nie zaniedbał żadnych ostrożności.

W Egonie kipiało wszystko.

— Proszę mi dopilnować — rzekł tonem rozkazującym — żeby stąd zabrano szkło i żeby służba robiła co do niej należy. Wszystko zbiegło się tutaj. To źle świadczy o porządku.

Rzekłszy te słowa, wyszedł z pokoju.

— A ten, co tu ma do rozkazywania? — rzekła zarządczyni domu, tymczasem hrabia Werner tu jest panem. Nie wiecie, czy on jest w Felseg? Trzebaby posłać po niego.

— Pan baron dzwoni na gwałt — rzekła pokojówka — zobaczcie co się stało.

Edward wyszedł i wrócił wnet, opowiadając służbie, że baron każe zaprzęgać i jedzie do Felseg.

— Aha! — zawołała klucznica, chce się zrobić przyjemnym i sam mu zawieźć wiadomość o śmierci dziadka. Dobrze, że jaśnie panicz przyjedzie, już się stęskniłam za jego piękną twarzyczką i jego uprzejmem zachowaniem się. Teraz panna Sylwia może się cieszyć — mówiła jedna pokojówka, teraz ona będzie naszą hrabiną.

— To jeszcze wielkie pytanie — dorzuciła druga.

Klucznica kazała im zamilknąć.

Wnet wyniesiono Gerharda do jego pokoju. a morderca jego jechał w eleganckim powozie do Felseg.

## ROZDZIAŁ XIV.

### Pogardzony

Alojzy od urodzenia był pogardzony, jakby jaki wyklęty.

Ojciec jego był mordercą. Popełnił zamach skrytobójczy na ubogim kapłanie, aby go pozbawić jego niewielkiego majątku.

Podczas, gdy morderca przeszukiwał szafy i komody, gospodyni proboszcza, którą on uderzył młotkiem w głowę i myślał, że zabił, zerwała się, uciekła i wróciła z ludźmi.

Morderca ujrzał się nagle otoczonym, pokonanym i związanym.

Oburzeni chłopi byliby go zabili, gdyby nie był ich powstrzymał od tego rozważny jeden starzec.

— I tak pójdzie na szubienicę — zawołał — nie wtrącajcie się katu do jego rzemiosła. Czy

chcecie sami być mordercami i splamić ręce krwią? To będziecie tacy sami, jak on. Teraz on jest związany i bezbronny, a więc odstawimy go do więzienia.

Tak się też stało.

Niebawem stary wisiał na szubienicy, pozostawiwszy splamione imię żonie i dziecku.

Gdziekolwiek pokazał się czteroletni Alojzy, wskazywano nań palcami, jako syna zbója, przeklinano go, uciekano do niego, jak od zadżumionego.

Nigdy nie słyszał dobrego słowa, nie doznał przyjaznego spojrzenia.

Kiedy chciał się bawić z dziećmi, pędzono go słowami, albo nawet kułakami, a potem z płaczem przybiegał do matki, na pół obłąkanej, a ona odpowiadała: Dla nas byłoby lepiej, gdyby nas ojciec był zabił. Nic tu po nas na świecie.

Im starszym był chłopcem, tem cięższe były te przekleństwa.

W szkole nikt nie chciał obok niego siedzieć, sam jeden był w ławce, a poza szkołą i na przerwach omijali go koledzy i koleżanki, jak trędowatego. Jeżeli się zbliżali, to tylko po to, aby mu spłatać przykrego figla, albo kłuć go złośliwem gadaniem.

Kiedy w zimie biegł do szkoły bez śniadania, w cieniutkim, wiatrem podszytym kubraczku, padały nań z ukrycia kule śnieżne, a nawet kawałki lodu.

Jeżeli mu się udało jednego z nich schwytać, gdy się chciał na którym zemścić, wtedy wszyscy stawali w obronie napadniętego.

Cała zgraja silnych chłopców napadała go i biła na kwaśne jabłko.

Kiedy kulejąc i okryty siniakami przyszedł do szkoły i skarżył się nauczycielowi, ten go odprawiał szorstko.

Tymczasem w domu u nich panowała wielka nędza. Gmina nie chciała wdowy po mordercy wspomagać mówiąc, że taka silna kobieta może pracować, a gdy ona szukała roboty, wypędzono ją wszędzie.

W lecie zarabiali w ten sposób, że zbierali po górach zioła lecznicze i sprzedawali je później aptekarzom.

Ale w zimie nędza ich była straszna.

Alojzy zaprzyjaźnił się z cyganami. Zachwycony był tem, że go nie odpychali.

Byli to pierwsi ludzie, którzy go przyjęli bez drwin, przekleństw lub przezwisk; przeciwnie, nauczyli go pożytecznych rzeczy jak naprzykład zastawiania sidła na ptaki, jak się zakrzywionym drutem otwiera drzwi zamknięte, jak się bez najmniejszego brzęku wyciska szyby suknem, posmarowanem zielonem mydłem, jak się strzela z łuku i strzelby. Wogóle nauczyli go tysiące sztuczek, za pomocą których on dobierał się do majątku mieszkańców Königswalden, zawsze pewny, że go nie schwycą na gorącym uczynku.

Gdy Alojzy był wyrostkiem, umiał już kraść po mistrzowsku:

Teraz już wraz z matką nie cierpiał głodu.

Alojzy często mawiał do matki: wszyscy ludzie razem i każdy człowiek z osobna są moimi nieprzyjaciółmi, odpłacam się im tem, że ich okradam.

— Ale nie daj się przyłapać — prosiła matka i dodawała ze złośliwym uśmiechem: dobrze im tak, tym złym durniom, za to, że nam tak dokuczają.

Przez długie lata Alojzy w ten sposób utrzymywał siebie i matkę, kradnąc i uprawiając tak zwane kłusownictwo, to znaczy, strzelając na obcym terenie do cudzej zwierzyny. Aż raz go na tem przyłapał leśniczy.

— Mam cię ptaszku — zawołał, wyskakując z za krzaka.

Zamiast odpowiedzi, Alojzy wymierzył do niego i strzelił, ale chybił.

W tej samej chwili padł drugi strzał i Alojzy trafiony w udo, padł na ziemię.

Żaden jęk, żadne przekleństwo nie padło z jego ust.

Na miejscu leśniczego byłby zrobił to samo i nie miał mu tego za złe.

— Pani hrabina nigdy wierzyć nie chciała, że to ty, teraz sama zobaczy.

Hrabina Rut, powiadomiona o wypadku, pytała przedewszystkiem, czy Alojzy jest ciężko ranny.

— Będzie miał znak na całe życie — odpowiedział obojętnie leśniczy.

Hrabinie wydawało się to za ciężką karą, w porównaniu ze zbrodnią i postanowiła go leczyć, a gdy trochę wyzdrowiał, przywieźć go do siebie, gdzie kazała go oddać opiece lekarskiej i zarządziła, aby go sądowi nie oddawano.

Ona znała smutny los biednego chłopca i litowała się nad nim bardzo.

— Wyproś sobie jaką łaskę — mówiła łaskawie do Alojzego, gdy blady i przestraszony przyszedł utykając na nogę, do komnaty hrabiny.

Tego nie spodziewał się Alojzy. Myślał, że mu hrabina uczyni wyrzuty, a ona zamiast tego, przemówiła do niego tak łagodnie, jak tego jeszcze nikt prócz jego matki nie był uczynił.

Zdziwiony, podniósł oczy.

Czy była to rzeczywistość; prawda, bo ta piękna i poważna pani nie umiała nawet kłamać.

— Czy chcesz być myśliwym? — pytała hrabina. — Mój leśniczy może cię przyjąć na praktykę.

Alojzy zaprzeczył ruchem głowy.

— Jeżeli nie znosisz mego leśniczego, to możesz być i u leśniczego Herberta — mówiła dalej hrabina.

Ale Alojzemu wydawała się nieznośna myśl o kilku latach praktyki, w czasie której musiałby słuchać i stosować się do innych.

Przezwyciężył nieśmiałość jaka go opanowała na widok pięknej, bladej pani, na której już zbliżająca śmierć swe piętno zdawała się wycisnąć i wyjąknął:

— Czy jaśnie pani hrabina pozwoli mi prosić o inne zajęcie?

— Więc mów — ośmielała go dobra hrabina.

— Kasztelan na zamku Felseg jest stary i chorowity, chce już odpocząć, gdybym jego miejsce mógł otrzymać, mógłbym się wraz z matką usunąć z oczu tym ludziom, którzy nas unikają jak dżumy.

— Otrzymasz to miejsce — przyrzekła mu hrabina; dotrzymała też słowa, ale jej dobroć nie wywołała nawet lekkiego uczucia wdzięczności w Alojzym.

Wdzięczność byłby niewątpliwie uczuł, gdyby się wcześniej była nad nim zlitowała jakaś szlachetna dusza, ale nie teraz, kiedy nienawiść ludzka przytłumiła w nim każde szlachetne uczucie.

Teraz wydawała mu się wspaniałomyślność hrabiny tylko kaprysem zepsutej szczęściem kobiety.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

KAZIMIERZ ŁAGANOWSKI

4)

# Niebezpieczny Gość

*Powieść*

Wszystko tu przypominało mi jego zeszłoroczny pobyt. Wspomnienia wróciły na nowo... Czy przyjedzie? — zapytałam się w duchu. — Czy czeka na mnie? A może zapomniał dawno...

I czułam, że sercem mojem szarpie dziwny niepokój i coś jakby ból.

Więc to dziwne moje uczucie do młodego człowieka nie wygasło, a tajone długo, poczęło teraz gwałtownie wydobywać się na zewnątrz. Serce poczęło dopominać się o swoje prawa...

— Teraz rozumiesz, Iruśko — kończyła Janka swoje zwierzenia — dlaczego moje zachowanie było tak dziwne. Kiedy ojciec wspominał o tym młodym letniku, to ogarnęło mnie silne wzruszenie, gdyż myślałam, że to on... Zdzich przyjechał... Tymczasem tak chyba nie jest, bo ojciec... Och, ojciec domyśla się wszystkiego, ale coś skrywa przedemną. Bo cóż miały znaczyć te jego niedomówienia?... Jestem pewna, że wie o mojem uczuciu do młodego człowieka, a tylko udaje, że nie wie o niczem.

Irena uścisnęła gorąco kuzynkę.

— Przyznam się, że w części domyślałam się tego wszystkiego — rzekła z zagadkowym uśmiechem. — Tylko, że to twoje dziwne uczucie do młodego człowieka nie nazywaa się przyjaźnią, ale... miłością...

— O...!

— Nie inaczej Janko i nie masz czego się martwić. Jestem młodsza od ciebie i nie wiem co to jest kochać i tęsknić za ukochanym, lecz z tego opowiadania widzę jasno, że ten twój Zdzich jest zakochany w tobie po same uszy. Zresztą czyż nie zasługujesz na to?

— Jednak nie przyjechał. Nie ma go tutaj...

— Ale jestem pewna, że przyjedzie. Jednak wiesz Janko, że obeszłaś się z nim trochę za obojętnie?... Taki chłopiec wart był, aby więcej się nim zajęto. Nie widziałam go nigdy, ale według twego opowiadania wnioskować można, że musi to być jeden z tych rzadkich mężczyzn, którzy kochają tylko raz w życiu i temu uczuciu pozostają wierni aż do śmierci.

— Tak Iruś. Jest on rzeczywiście odmienny od drugich i może to właśnie sprawiło, że zdołał wzbudzić w mem sercu coś więcej, niż zwykłą przyjaźń...

— Miłość, Janeczko. Powiedz wyraźnie: kochasz go?...

— Och, Iruś, Iruś! Coś dziwnego się ze mną dzieje. Powiedz, dlaczego „on" nie przyjechał?...

— Zobaczysz, że przyjedzie. Ale wiesz, Janko, ten twój pomysł z całorocznym milczeniem był bardzo niefortunny.

— O, gdybym wówczas wiedziała, że go tak polubię...

— Pokocham — moja droga.

— Tak... Gdybym wtedy wiedziała, że go... pocham, nie zadrwiłabym z niego w ten sposób. Postąpiłam lekkomyślnie, bo myślałam, że to ma być tylko przelotny flirt, a ja przecież nie pragnęłam tego. Dlatego też umyślnie usiłowałam położyć kres naszej krótkiej znajomości. Bo wszakże już trzy lata temu miałam w Warszawie nieprzyjemną przygodę z takiego powodu...

— Ty miałaś w stolicy nieprzyjemną przygodę miłosną? — zdziwiła się Irena.

Janka poczerwieniała lekko i skinęła głową potakująco.

— Byłam wówczas z ojcem na balu, na którym poznałam jakiegoś pana Alfonsa Rozwicza. Miałam zaledwie lat siedemnaście, a ów młody człowiek liczył conajmniej trzydzieści wiosen. Był to dość przystojny, umiejący schlebiać, kawaler, a w tak młodej jak ja, i niedoświadczonej panience miał cierpliwą słuchaczkę. Począł tedy umizgiwać się do mnie i na każdym kroku narzucać się z swoją osobą, aż w końcu zniecierpliwiona dałam mu do zrozumienia, że nie życzę już sobie jego towarzystwa. Wtedy zrozpaczony wyznał mi, że mnie kocha i że muszę pozostać jego żoną, gdyż w przeciwnym razie oszalałby chyba. Odpowiedziałam mu, że jestem jeszcze zbyt młodą, abym miała wychodzić zamąż, a zresztą za męża nie wzięłabym nigdy człowieka, którego nie kocham. Cały drżący począł błagać mnie, abym nie była dla niego tak okrutną i abym pozostawiła mu choć trochę nadziei, to on z chęcią poczeka parę lat... Żal mi go było, ale czyż mogłam robić mu jaką nadzieję, nie kochając go wcale?... I ta moja odpowiedź była krótka i negatywna. Młody człowiek rozgniewał się z tego powodu i zagroził zemstą. W końcu wykrztusił przez zaciśnięte zęby: „Dobrze, ale póki ja żyć będę. nie dopuszczę nigdy, aby pani poślubiła kogo innego!" — Aby uniknąć skandalu musieliśmy wcześniej wyjechać z Warszawy...

— Nie dziwię się wcale, że na sam twój widok mężczyźni tracą głowy — zaśmiała się przekornie Irena. — O, gdybym tak ja była chłopcem...!

— Och, ty miła trzpiotko! — przerwała jej Janka i zaśmiała się srebrzyście.

— A widzisz! Twój Zdzich nie stanowi wyjątku. Napewno o tobie nie zapomniał. Przyjedzie więc i wtedy powetujecie sobie całoroczną tęsknotę i niepokój...

— Ira!

— No, nie gniewaj się Janeczko. Siedzę już jak trusia.

I Irena zrobiła tak pokorną i niewinną minkę, że Janka parsknęła głośnym śmiechem.

— Paradna jesteś, Iruś — rzekła — i kocham cię bardziej jeszcze za twój łobuzerski humor. Bo wiesz? Może się łudzę, ale coś mi mówi, że już wkrótce znowu zobaczę pana Donieckiego.

A chcąc zmienić temat, dodała, przeciągając się leniwie:

— Gorąco i duszno tu w tej altanie. Może przejdziemy się po ogrodzie?

— Z przyjemnością Janko. Wyraziłaś moje myśli, gdyż taki sam zamiar miałam w tej chwili.

Dziewczyny wzięły się za ręce i poczęły przechadzać się po wzorowo utrzymanych gankach ogrodu.

Jak dwie codopiero rozkwitłe różyczki uśmiechające się na dużym krzaku róży, tak wyglądały panienki na tle gąszczu zieleni. Obie niezwykłej urody, różniły się nieco od siebie. Irena była bardzo serdeczną i żywą dziewczyną o czarnych, bystrych i figlarnych oczach Janka zaś, wysmukła blondynka, miała też w sobie prócz złotego humoru, leciutki cień melancholii.

Ubrane były w jasne sukienki z krótkimi rękawkami, odsłaniającymi kształtne, białe ramiona, które muskało przyjemnie świeże powietrze zbliżającego się wieczora.

Janka z rozkoszą wdychała upajającą woń kwiatów i zieleni.

— Cudowny dziś będzie wieczór — rzekła, wodząc rozmarzonemi oczyma po obłokach.

Irena wstrzymała ją za rękę.

— Patrz, ktoś idzie w naszą stronę — rzekła i wskazała kierunek.

Od strony willi ukazała się trochę przysadzista, lecz młoda dziewczyna.

— To Melania, nasza pokojówka — rzekła Janka. — Rozgląda się po ogrodzie, jakby szukała kogoś.

— Może nas szuka?

— Być może, że ojciec ją z czem przysyła — odparła Janka i podnosząc głos, zapytała: — Czy nas szukasz, Melanio? Może ojciec sobie co życzy?

— Tak. Pan prosi, aby panienki wróciły już do domu, jeśli to panienkom nie sprawi przykrości — zaterkotała pokojówka.

— Och, wujek! — zawołała Irena. — Zapomniałyśmy o nim zupełnie. Zapewne nudzi się bardzo siedząc samotnie, gdy my tutaj się zabawiamy.

— Wiesz Iruś — zaproponowała nagle Janka. — Jeśli chcesz, to idź towarzyszyć memu ojcu. Ja tu jeszcze zostanę chwileczkę. Tak patrzysz na mnie?... Głowa mnie boli trochę, a świeże powietrze działa bardzo skutecznie na ból głowy...

Irena popatrzyła na kuzynkę wzrokiem, który mówił: „Nie wierzę w ten twój nagły ból głowy, ale rozumiem cię doskonale" — i pospiesznie oddaliła się w stronę willi, naśladując ciężki chód, idącej przodem pokojówki.

Janka patrzyła za nią, uśmiechając się mimowoli.

— Jaka miła dziewczyna z tej Iruśki! — szepnęła z uznaniem.

Przeszła się dookoła ogrodu. Jakiś mały krzak, którego różowe kwiaty wydawały niezwykle silny zapach, zwrócił jej uwagę. Pochyliła się nad krzaczkiem i podsunęła kwiecie do nosa.

W tem czyjeś kroki dały się słyszeć w pobliżu. Janka wyprostowała się i szybko odwróciła głowę.

Przy niskim płotku stało dwóch młodych ludzi. Jeden z nich wysoki i szczupły, ubrany był w sportowy garnitur; drugi również wysoki, lecz jakby nieco starszy, na głowie miał duży słomkowy kapelusz, który rzucał cień, nie pozwalając rozeznać twarzy. Zachowanie się mężczyzn zdziwiło ją w najwyższym stopniu.

Janka uważniej spojrzała w ich stronę. Po pewnej chwili drgnęła widocznie, a oczy jej poczęły jaśnieć żywszym blaskiem. Ogarnęło ją dziwne wzruszenie, a z drżących ust wydarł się pełen radości szept:

— Boże! To on... Zdzich!

W ubranym w sportowy strój mężczyźnie poznała Zdzisława Donieckiego.

## Rozdział IV.

## RADOSNE SPOTKANIE

Zdzisław stał długą chwilę, nie mogąc przemówić słowa z ogromnego wzruszenia. Mając oczy utkwione w jeden punkt ogrodu, nie widział nic co się wokół niego działo. Nie zwrócił wcale uwagi na dziwne zachowanie się swego towarzysza.

Kiedy Tulczyński ujrzał pochyloną nad krzewem Jankę Krańską, wstrząsnął się cały i stanął jak wryty. Twarz mu drgnęła bolesnym skurczem, poza szkłami oczy zajaśniały niesamowitym blaskiem, a z zaciśniętych ust wydarł się cichy jęk. W pewnej chwili spojrzał na Zdzisława, a oczy jego w tym momencie stały się straszne, jakby obłąkane. Lecz trwało to sekundę tylko. Wnet nisko opuścił głowę i pogładziwszy nerwowo czarną bródkę, oddalił się szybko w stronę willi.

Ale Zdzisław nie widział tego. Dla niego w tej chwili światem całym była piękna jasnowłosa dziewczyna, a wszystko inne, to nic nie znaczące zero, na które nawet nie warto zwracać uwagi. Wszakże tam, w ogrodzie znajdowała się Janka Krańska.

Stali naprost siebie, mierząc się badawczemi, zdumionemi spojrzeniami. Nagle wzruszenie obezwładniło ich członki i odjęło na chwilę mowę.

Wreszcie Zdzisław opamiętał się pierwszy. Ukłonił się z galanterią, a potem szybko, lecz uważnie rozejrzał się po ogrodzeniu, szukając oczyma furty. Lecz z tej strony nie było żadnego wejścia do ogrodu. Po małem wahaniu przeskoczył niski, żelazny płotek i szybkim krokiem podszedł do zapłonionej dziewczyny.

— To pani... naprawdę pani? — mówił, całując kilkakrotnie białą rączkę. — Skądże pani tak nagle tu się zjawiła?

Janka obrzuciła go długim i uważnym spojrzeniem. Uśmiechnęła się przyjacielsko.

— Przyjechałam dziś popołudniu dopiero — odparła. — A pan?

Trzymał ciągle jej dłonie w mocnym uścisku i patrzył, patrzył w jej zarumienioną twarzyczkę.

— Ja?... O, ja tu już tydzień jestem. Nudziłem się strasznie. Czekałem na powrót pani, a pani nie przyjeżdżała długo, długo... Niedobra pani, niedobra!

Tyle radości brzmiało w jego głosie! Dziewczyna uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

— Panno Janeczko! — mówił dalej. — I pomyśleć, że to naprawdę pani tutaj, dzisiaj właśnie... Bo przyznam się pani szczerze, że niezmiernie trudno mi było wyrzec się na cały długi rok widoku pani. Często wywoływałem w wyobraźni obraz pani, a wtedy coś dziwnego działo się w mem sercu. Tęskniłem za panią...

Janka zapłoniła się i spuściła oczy ku ziemi, wnet jednak podniosła je na młodego człowieka.

— Tak, tęskniłem za panią... W ciągu roku napisałem do pani kilka listów, ale pamięć na dane przyrzeczenie całkowitego milczenia, wstrzymywała mnie zawsze od wysłania ich. Zresztą nie znałem adresu pani w Krakowie. Nie było więc innej rady, jak czekać cierpliwie na nadejście powtórnego lata. Dotrzymałem jednak danego słowa — milczałem zawzięcie, choć to kosztowało mnie bardzo wiele.

A spojrzawszy dziewczynie w oczy, zapytał:

— Nie stawiałaby pani takiego warunku, gdyby pani wiedziała, że sprawi mi tem dużo strapień, prawda?

Policzki Janki zakwitły lekkiemi rumieńcami zmieszania. Rychło jednak zapanowała nad sobą.

— Proszę mi przebaczyć — szeptała. — Nie wiedziałam, że sprawię panu tyle przykrości. — Przed rokiem zapatrywałam się na... naszą sprawę zupełnie inaczej, niż teraz. Nasza znajomość była bardzo krótka, a ja myślałam, że...

— Myślała pani, że co? — nalegał Zdzisław.

Janka milczała jednak, bardzo zakłopotana.

— O, domyślam się — zawołał młodzieniec. — Myślała pani, że jestem, tak jak wielu młodych ludzi z miasta, bardzo niestały i płochy, że... No, zaliczała mnie pani do pewnej kategorii młodych mężczyzn... Sądziła pani, że tak długie milczenie będzie najlepszym warunkiem do pozbycia się na zawsze takiego rodzaju mężczyzny. — Cenię panią bardziej jeszcze za to, ale równocześnie postaram się... nie! — muszę przekonać panią, że myliła się pani w tym wypadku.

— Ależ, panie Zdzisławie! Ja nic... ja nic podobnego...

— Przepraszam, ale pani mnie wówczas nie znała, więc mogła tak sądzić. Lecz, panno Janko,

Ciąg dalszy na stronie 799.

# Kraina szczerości i naszych trosk

**Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu**

## Dobre rady p. Zofji

### PROSZĘ RADOŚNIEJ SPOJRZEĆ NA ŚWIAT

*„Smutna Kazieńka".* Podziwiam u Pani prostotę pojmowania życia, ale zupełnie nie rozumiem rezygnacji Pani z życia. Jest Pani przecież tak młodą, a już myśli o śmierci. Cierpliwości, Droga Pani! Jeszcze i dla Pani zaświeci słonko i Pani będzie kiedyś dobrze. Pewna jestem tego!

Ślę Pani słowa szczerej sympatji i przyjaźni i jeszcze raz proszę Panią o radośniejsze spojrzenie na świat.

Na zakończenie kilka słów Pani dla Sympatyków:

„Smutno mi, że nikt do mnie nie pisze, ale nie tracę nadziei, że jeszcze kiedyś otrzymam od kogoś list...

„Wesoła Iruto"! Dziękuję za pozdrowienia i stokrotnie je odwzajemniam. Proszę napisz do mnie, a otrzymasz niezwłocznie odpowiedź. „Smutna Bronisiu"! Dlaczego milczysz?

„Blance" — „Wesołej Mariecie" — „Człowiekowi z ludu" — „Wirrytowi" i „Narcyzowi" — ślę przyjacielski uścisk dłoni".

### PODZIĘKOWANIE

*P. Janusz Dąbrowski z L.* dziękuje jak najuprzejmiej wszystkim Paniom za miłe listy i przeprasza, że nie może odpowiedzieć na każdy list osobno, gdyż otrzymał blisko 100 listów.

### NOWY GOŚĆ W „KRAINIE"

*„Jesienny Wicher"* wtargnął do „Krainy" w celu zawarcia bliższej znajomości z jej Sympatykami. Poza tym, aby urozmaicić sobie długie wieczory, pragnie nawiązać korespondencję z Panią, pochodzącą ze sfer rolniczych.

Myślę, że nowy gość „Krainy" nie dozna zawodu, choćby dlatego, że tyle osób lubi smętny, pełen uroku, jesienny wicher...

### Z LISTU „KONWALJI"

*„Konwalja".* „Mała Konwalijko"! Najdroższa! Nie gniewaj się, że nie piszę. Wytłumaczę się w liście. Jaki jest twój obecny adres? Całuję Cię.

Miłe pozdrowienia i uściski zasyłam „Samotnej Konwalji" — „Czerwonemu Koralowi" i „Maleńkiej Dzidzi".

„Narcyzowi" ślę promienny uśmiech, oraz szczery uścisk dłoni".

Najpierw przedrukowałam część Twego listu „Konwaljo", a następnie przesyłam Ci serdeczne współczucie z powodu przewlekłej choroby i łączę moc całusów dla Treczki.

### „KOCHANE SYMPATYCZKI ROZWESELCIE MNIE!"

*„Samotna Dzidzi"* nadesłała na moje ręce smutny liścik. Przeczytajcie go, moi Kochani Sympatycy i następnie pocieszcie Waszą samotną „siostrzyczkę".

„Kochani! Długie miesiące minęły od chwili, gdy wstąpiłam w szeregi naszej ogromnej „Rodzinki". Zostałam przyjętą przez Panią Zosię i za Jej to pośrednictwem nawiązałam miłą korespondencję, lecz nie wiem, co za pech — wszyscy o mnie zapomnieli i znowu zostałam sama. Samotna bez granic! Jedynie od czasu do czasu któraś z Siostrzyczek pamiętała o mnie, przesyłając mi pozdrowienia, więc dzisiaj, Kochane Dziewczynki, dziękuję Wam za nie i w pełni je odwzajemniam, a szczególnie: „Czarnulce ze Świecia" — „Czarnulce z Grudziądza" — „Słodkiej Gildzie" i „Słodkiej Psyche". „Synowi Dniestru" dziękuję za szczere życzenia i pozdrowienia, przesłane przez siostrę. I ja pozostaję pełna życzliwości dla Ciebie.

Kończąc, przesyłam dla całej „Rodzinki" moc szczerych pozdrowień i wołam: Kochane Sympatyczki! Rozweselcie mnie! Może któraś z Was jest tak samo samotną i smutna jak ja? — Czekam na liścik!"

### BARDZO DZIĘKUJĘ!

*„Czarny Olek".* Rewanżuje mi się Pan bardzo szlachetnie i hojnie za tak drobną przysługę, jak pośrednictwo w nawiązaniu korespondencji. Dziękuję bardzo i pozdrawiam!

(Kilka słów z listu „Czarnego Olka"):

„Hallo! „Wenus z Puszczykowa"! Zaszło jakieś nieporozumienie. Nie jestem tą osobą, o której Pani myśli. W Poznaniu byłem tylko przejazdem. W pułku lotniczym nigdy nie służyłem i osób przez Panią wspomnianych, niestety, nie znam. Przesyłam moc pozdrowień!

„Jadwiniu D."! Czy powróciła już Pani z Berlina? Proszę o adres w Polsce. Za list dziękuję. Milutkie pozdrowienia!"

### ŻYCZENIU UCZYNIĘ JAK NAJCHĘTNIEJ ZADOŚĆ

*„Fleur".* „Będąc kochanym miło jest żyć". pisze Pan. Tak i dlatego, pomimo przykrego położenia, warto Panu żyć dla tych, którzy Pana tak bardzo kochają. I niech Pan pamięta, jeszcze to, że nie sztuka przeżyć życie lekko, ale wielka sztuka, przeżyć je pomimo ciężkich prób i doświadczeń, pomimo beznadziejności.

Przesyłam Panu siostrzane pozdrowienia i wiadomość, że skromnemu życzeniu Pana uczynię jak najchętniej zadość.

### ZMIERZCH JESIENNY

Niebo zasnute szaremi chmurami,
A oczy żalem zasnute.
Zmącił harmonję ktoś między myślami,
I w serce wsączył cierpki smutek.
Za szybą blade migocą światełka,
A w duszy dzisiaj tak ciemno...
Czuję — mogłabym się głośno rozełkać,
Lecz rozżalać się — nie trzeba daremno.

*Danuta Wyrybkowska.*

### CIERPLIWOŚCI!...

*„Tricotrin".* Przesyłam Panu serdeczne pozdrowienia i wiadomość, że odpowiedź na list dam wkrótce. Cierpliwości zatem!

### LISTY PRZEKAZAŁAM

*„Słodkie Serduszko".* Narazie niema w redakcji dla Pani żadnego listu. Poprzednie, które wpłynęły, już przekazałam.

Za uściski — ślicznie dziękuję!

### ADRESY!

O adresy, celem przesłania listów, znajdujących się w redakcji są proszeni: „Samotne Serduszko" — „Cis" — „Sztubak z pod lasu" — „Tricotrin" — „Hiacynt" — „Sarenka Czarnooka" — „Samotna Kukułka" — „Jasne Słoneczko" — „Ar" — „Sympatyczny Blondyn" — „Ord - Om" i „Irka z Torunia".

### ZAPYTANIE

*„Elżunia z Torunia"* śle milutkie pozdrowienia wszystkim Sympatykom „Krainy" i zapytuje „Jaśka" o powód milczenia.

### UWAGA PP. OFICEROWIE LEGII CUDZOZIEMSKIEJ!

*„Chryzolit".* List Pani zrobił na mnie wielkie wrażenie. Opisała mi Pani w nim swoją przeszłość smutną, ale ciekawą i niezwykle sensacyjną. Przeszłość Pani to temat do emocjonującej i romantycznej powieści. Żałuję, że nie posiadam talentu powieściopisarskiego, gdyż kto wie, czy nie pokusiłabym się osnuć czegoś na tle Pani przeżyć.

Cieszę się, że pomimo zawodu i ciężkich przeżyć zachowała Pani jeszcze pogodę i nadzieję w lepsze jutro. Nie uwierzy Pani z jaką radością po pierwszych, smutnych stronnicach listu przeczytałam słowa Pani:

...w życiu mojem było tyle zawodów, goryczy i cierpień, ale ja wierzę, że to wszystko jeszcze się zmieni i zaświeci kiedyś dobre słonko. Nie tracę nigdy nadziei i powtarzam wciąż uparcie: „niech żywi nie tracą nadziei".

Utwierdzam Panią w powyższych przekonaniach, zamieniam uściski dłoni i gorąco proszę o dalszą pamięć.

Co do adresu oficera Legii Cudzoziemskiej to narazie nie posiadam żadnego, ale myślę, że wkrótce go zdobędę, gdyż „Moje Powieści" docierają nawet do Afryki i chętnie są czytywane przez żołnierzy Legii Cudzoziemskiej. Może więc i któryś z oficerów przeczyta te słowa i nadeśle do naszej redakcji swój adres, względnie prześle kilka słów dla „Chryzolita"?

Na zakończenie jeszcze coś od Pani:

„Nawiążę chętnie korespondencję z jakimś mieszkańcem dworu. Niech piszą do mnie Ci, którym wypełnia życie praca na roli i którym szumi prastary bór"...

### „ŻYCIE MOJE JEST SMUTNE"...

*„Stęskniona Alinka".* Pierwszy Twój liścik „Alinko" widocznie nie doszedł do moich rąk, gdyż inaczej dałabym Ci już odpowiedź. Chociaż jednakże list mnie nie doszedł, nie straciłaś wiele, gdyż dzisiaj przyjmuję Cię jak najserdeczniej do „Krainy" i liścik Twój oddaję do przedruku:

„Życie moje jest smutne i ciężkie. Pozaszarą, codzienną pracą nic nie wypełnia mi życia. Otacza mnie pustka i pustkę tę chciałabym wypełnić miłą i wartościową korespondencją. Tęsknię za czyjemś dobrem serduszkiem i wierzę, że znajdę takie.

Chciałabym nawiązać korespondencję z „Starą Panną". Czy zgoda? Jestem tak samo, jak Pani, samotna i tak samo dążyłam kiedyś do wymarzonego celu, t. j. nauczycielstwa, lecz los pokrzyżował mi plany. Ślę Pani szczery uścisk dłoni i czekam na list od Pani.

Osobne pozdrowienia ślę „Samotnemu Agronomowi" i „Wirrytowi", wraz z prośbą o króciutki wierszyk".



Na powyższej fotografii widzimy **„Córkę Wichru"** i Jej starszego brata, jak pozują, wśród białych brzóz i promyków jesiennego słońca, fotografowi do zdjęcia.

## NAJCICHSZE MARZENIE

*„Ikar III"* obawia się, że apel Jego minie bez echa, że nikt się nim nie zainteresuje i nie zechce odpowiedzieć na Jego słowa miłym echem. Moje zdanie jest zupełnie przeciwne, dlatego z całym spokojem oddaje list „Ikara III" do przedruku i pewna jestem, że w „Krainie" znajdzie się dużo osób, które podadzą „Ikarowi" bratnią dłoń:

„Przypadkowo wpadł mi do ręki numer tygodnika „Moje Powieści" no i zainteresował mnie bardzo. Szczególnie zafrapowała mnie „Kraina", więc wstępuję do niej i proszę Sympatyków o listy. Obawiam się, że prośba moja zostanie pominięta, gdyż jestem zwykłym, szarym człowiekiem. Cokolwiek w życiu zdobyłem zawdzięczam sobie. Lubię samotność, unikam ludzi i czasami... marzę. Kocham marzenia, bo są takie różowe, a prawda życia beznadziejnie szara. Teraz cichutko marzę, że może jedna z milutkich Sympatyczek — napisze do mnie"...

## WARTOŚCIOWA KORESPONDENCJA

*„Roma"*. Wzruszył mnie liścik Pani i pewna jestem, że korespondencja z Panią przyniesie każdemu miłą rozrywkę i pełne zadowolenie. Niżej zamieszczam kilka myśli Pani, gdyż są ładnie ujęte i posiadają w sobie dużo pogody:

„Droga Pani Zofio! Podobnie, jak Ty, kocham i ja świat i ludzi, kocham pracę w jakiejkolwiekbądź formie. Wiem, że praca czyni człowieka lepszym i jakoby wyższym, dlatego tak ją cenię.

Pomimo młodych lat lubię ciszę i samotność. Jestem skromną i zrównoważoną. Każdą wolną chwilę poświęcam książce i w niej znajduję zawsze dobrą i wartościową rozrywkę.

Żegnam wszystkich Członków olbrzymiej „Rodziny" serdecznemi pozdrowieniami i cieszę się, że należę do „Krainy" i mam prawo do niej pisywać".

## BRAK ODPOWIEDNIEGO TOWARZYSTWA

*„Milutka Lena"*. Naturalnie i dla Pani znalazło się miejsce w „Krainie". Nie poskąpimy Pani, ani ja, ani Sympatycy „Krainy", przyjaznych i miłych słów, wzamian jednak prosimy Panią o częstą pamięć. Czy zgoda, „Leno"?

A teraz kim Pani jest i gdzie mieszka? Na pytania te odpowie wyjątek z listu Pani:

„Jestem wysmukłą szatynką o piwnych oczach, podobno ładną i bardzo zgrabną. Na świat patrze śmiało i wesoło. Mieszkam na wsi. Z braku odpowiedniego towarzystwa pragnę nawiązać skimś korespondencję. Ciekawa jestem kto urzeczywistni to moje pragnienie"...

## LIST Z KRESÓW

*P. A. G. Nowojelnia*. Nadesłane przez Pana wiersze posiadają miłe akcenty, ale brak im zupełnie formy. Musi Pan jeszcze dużo nad sobą pracować i czytywać dużo poezyj, aby wiersze Pana posiadały pełną wartość literacką.

Za wszystkie serdeczne i życzliwe słowa — dziękuję Panu uściskiem dłoni. Spodziewam się wkrótce nowych wiadomości od Pana, a tymczasem zamieszczam tę część listu, w której mówi Pan o sobie:

„Jestem Kresowiakiem. Mieszkam daleko od wielkich miast, ale nie czuję się źle, bo kocham ziemię kresową. Mieszkam tam, gdzie ujrzeli światło dzienne tak wielcy ludzie, jak Mickiewicz i Marsz. Piłsudski, mieszkam na ziemi opiewanej w poematach. Często bywam w starym Nowogródku i zawsze odwiedzam Górę Zamkową, u stóp której dumam nad przeszłością naszej ojczyzny.

A teraz jak wyglądam? Jestem ciemnym blondynem, 1,80 m. wysokim, oczy posiadam niebieskie i twarz o regularnych rysach. Charakter mam kapryśny — tak przynajmniej mówią o mnie. Narazie kończę o sobie i pozdrawiam wszystkie Sympatyczki i Sympatyków „Krainy".

Oprócz tego ślę słowa uznania p. Marji Naturskiej z Krakowa za przecudny wiersz: „Nenufary".

Co się stało z „Kapłanką Wschodu"? Dlaczego nie daje o sobie żadnego znaku?"

## MYŚLĘ...

*„Idealistka"* i *„Śmieszka z Pomorza"*. Listy wysłałam z cichem życzeniem, aby wniosły w życie Pań dużo radości i dużo urozmaicenia. Czy życzenie to spełniło się, myślę, że dowiem się z następnego listu Pań? Łączę bardzo miłe pozdrowienia.



**„Ryśka D."** z swoim małym braciszkiem Leszkiem, wszystkie wolne godziny, lubi spędzać w dużym ogrodzie swego ojca, wśród pięknych, kwiatowych grządek.

## POZDROWIENIA Z OSTROWA WLKP.

*„Izaryś"*. Pozdrowienia z Ostrowa odebrałam. Bardzo Pani za nie, jak i za pamięć, dziękuję!

## POZDROWIENIE Z WARSZAWY

*„Wesoły Stefek z Grudziądza"* bawi obecnie w Warszawie i stamtąd przesyła nam serdeczne pozdrowienia.

Dziękuję, P. „Stefku", w imieniu swojem i wszystkich Czytelników!

## WSPÓŁCZUCIE I ŻYCZENIA

*P. H. K. Toruń*. Numery „Moich Powieści" zostały już przekazane, a w ślad za niemi przesyłam Pani kilka słów. Przedewszystkiem współczuję Pani serdecznie z powodu choroby i życzę Pani jak najszybszego powrotu do zdrowia i dawnych sił.

Pyta Pani, czy może nadesłać do druku wiersze i nowelki? Ależ tak, bardzo proszę! Zamieszczę je bardzo chętnie! Czekam więc na przesyłkę i serdecznie Panią pozdrawiam.

## CZEKAM NA WIADOMOŚCI OD PANI

*„Leniuszek"*. Przykro mi, że znowu Pani choruje, lecz pocieszam się nadzieją, że w chwili, gdy piszę te słowa, opuściła już Pani szpital i czuje się już znacznie lepiej. Czekam na wiadomości od Pani i mocno całuję.

## *Teczka Wujka Janusza*

## WIERSZE SŁABE

*„Kiszmet"*. Jesienią tak jest smutno,
Deszcz pada i pada,
Pragnienia moje są bez skutku,
Mrozi mnie jesień blada...

Oto wyjątek z wiersza Pana...

Tak samo, jak mrozi Pana jesień, tak mnie zmroziły Pańskie rymy. Nie mogę doszukać się w nich żadnych wartości literackich i nie mogę zrozumieć pretensyj Pana. Może napisze Pan jeszcze raz do mnie, gdyż ostatni list Pana jest zupełnie dla mnie niezrozumiały.

Za szczere pozdrowienia oraz za życzenia bardzo Panu dziękuję. Odwzajemniam je uściskiem dłoni.

## WOLĘ PROSTOTĘ I BEZPRETENSJONALNOŚĆ

*P. A. W. Tczew*. Nie rozumiem wierszy Pana — jest w nich dużo skomplikowanych i błyskotliwych zdań, a mało sensu. Osobiście wolę prostotę i bezpretensjonalność, dlatego wierszyki Pana, przeznaczam na całopalenia do kosza redakcyjnego.

Wyrazy szczerej sympatii odwzajemniam uściskiem dłoni.

## BRAK TALENTU

*„Ada"*. Bardzo słabe! Przedewszystkiem brak talentu — nie radzę pisać Pani dalej wierszy, — „szkoda czasu i atłasu".

Za serdeczne uśmiechy i uściski dłoni — bardzo Pani dziękuję i odwzajemniam się pozdrowieniami.

## DZIĘKUJĘ!

*„Willy"*. Serdecznie Panu dziękuję, ale nie skorzystam — za długie. Czekam na obiecane rękopisy i ślę Panu moc pozdrowień!

## O TEM I O OWEM

*„Blanka"*. Pyta mnie Pani, czy lubię jesień? Tak, bo pora ta posiada w sobie coś, co chwyta silnie za serce i pobudza do głębszych refleksyj. Jesień posiada w sobie radość i smutek, ale te dwa przeciwstawienia cudownie uzupełniają się w przyrodzie i budzą piękny nastrój.

Sprawy, związane z wysyłką „Moich Powieści", poleciłem załatwić administracji.

Z nadesłanych wierszyków wybrałem do druku: „Wspomnienia", „Twoje wiersze" i „Pod maską". Resztę — przeznaczyłem na zagładę.

A teraz „coś niecoś" dla Sympatyków:

„Hallo! „Szara Dziewczynko"! List Twój otrzymałam. Dziękuję! Dlaczego nie pisałam tak długo? — bo podałaś mi nieczytalny adres, więc, pomimo najszczerszych chęci, nie mogłam uczynić zadość Twemu życzeniu. Pozdrawiam!

„Lawrence"! Przyznaję zupełną rację Pańskim wywodom, dotyczącym korespondencji z Sympatykami „Moich Powieści". Myślę tak samo jak i Pan i mam nawet w tym kierunku pewne doświadczenie, gdyż sama korespondowałam dużo.

„Dumkę" i „Małą Mery" całuję na odległość! Czy otrzymałyście już Kochane Dziewczynki, wysłane przeze mnie listy? Czekam na odzew!".

## RĘKOPISY — SŁABE

*„Płacząca Brzoza"*. „Wiązanka walców" nie przedstawia żadnej wartości literackiej. Jest to banalny fragment z życia dwojga zakochanych, który nie wzbudziłby u Czytelników absolutnie żadnego zainteresowania. Może nadeśle mi Pani jakąś nowelkę lub felieton?

Wiersz „Kosiarze" jest narazie nieaktualny. Odłożyłem go do teczki, aby przy okazji skorzystać.

Łączę miły uścisk dłoni!

## OCZEKUJĘ Z NIECIERPLIWOŚCIĄ

*„Antygona"*. Kilka słów, przesłanych mi przez Panią na zapoczątkowanie przyjaźni, sprawiło mi dużo radości. Cieszę się, że moja „Teczka" zainteresowała Panią i pragnie Pani nawiązać z nią bliższy kontakt. Oczekuję z niecierpliwością na zapowiedziany przez Panią list i serdecznie Panią pozdrawiam.

(List dyskusyjny poda p. Zofia w następnym numerze.)

## WSPOMNIENIA

Wróciły dawne znów wspomnienia
I słyszę dobrych słów twych echo,
Jak wówczas w smutny dzień rozstania,
Kiedyś pożegnał mnie z uśmiechem.

Najdroższe, dawnych dni, wspomnienia
Opromieniły dziś mą duszę
I z twoim łącząc się imieniem
Serdecznych tyle dają wzruszeń.

Jedyna tylko nić promienna
Łączy nas dzisiaj jeszcze zdala
I smutek tłumi mój bezdenny —
To drogich wspomnień złota fala.

„Blanka".

# Raj kobiet

## Jesienne zakupy

Najaktualniejszym i najtrudniejszym problemem do rozwiązania jest dla pani Lali w chwili obecnej wybór nowego okrycia na zimę. Pani Lala, długo kombinuje, myśląc o swych szczupłych oszczędnościach, co sobie sprawić, czy tanie futro, czy porządny, solidny płaszcz i wreszcie ze względów praktycznych decyduje się na to drugie.

W kilka chwil później w pierwszorzędnym magazynie konfekcji damskiej pani Lala z podziwem przygląda się porozwieszanym modelom płaszczy. Co jeden to ładniejszy i bardziej elegancki.

Oto ten w kolorze bordo z srebrnemi karakułami, jest bardzo piękny, ale zbyt młodociany. Pani Lala zaś ma już 30 lat, więc nie chciałaby sobie takiego kupić. Z lekkiem westchnieniem podchodzi do następnego modelu. Oczy jej błyszczą z zachwytu i drżą usta...

Na manekinie pysznie prezentuje się płaszcz w kolorze soczysto — zielonym — poemat kunsztu krawieckiego — ozdobiony dwoma niebieskimi lisami.

— Proszę zdjąć... bardzo piękny! — wskazuje płaszcz ekspedjentce pani Lala.

Ruchliwe rączki panny sklepowej usłużnie nakładają palto na zgrabną, ale niską i nieco korpulentną figurę pani Lali.

— Ooo! — rozbrzmiewają dwa okrzyki, pełne żalu i zawodu, gdyż płaszcz z kloszem i bogatem futrem, na figurze pani Lali dużo stracił.

— Wiedziałam, że się pani rozczaruje... niestety, w płaszczach kloszowych korzystnie wyglądają tylko wysmukłe, szczupłe sylwetki — mówi panna sklepowa.

Pani Lala ma małe łezki w oczach...

— O, ten będzie w sam raz dla pani!...

Pani Lala z rezygnacją nakłada na siebie następne ciemno bleu palto z popielicami i nagle rozpromienia się.

— O tak, to będzie dobre. Tylko, czy nie za proste... za skromne?...

— Ależ!... linja prosta dominuje w tegorocznych okryciach jesiennych i zimowych — zaprzecza żywo ekspedjentka.

W parę minut później pani Lala wchodzi do składu bławatów. Jeszcze zostało jej trochę pieniędzy, więc postanowiła sobie kupić materiał na sukienkę.

Jakie kolory materiałów modne w tym sezonie?

— Granatowy, bronzowo — ceglasty i zielony! — pada odpowiedź.

Pani Lala myśląc o kolorze swego nowego płaszcza, decyduje się na lekką jasno — granatową, nakrapianą biało, wełenkę i po uregulowaniu rachunku, uradowana opuszcza bazar i wraca do domu.

— Sukienka musi być gładka, ale skombinowana z plisowaniami... Plisowania obecnie takie modne i wyglądają tak ślicznie...

Jeszcze kilka refleksyj i pani Lala staje przed progiem swego domu. I w tej chwili zdaje sobie sprawę, że poza nią zostały wytworne magazyny i bazary z barwnemi materiałami, a z nią jest już znowu tylko zacisze domowego gniazdka i... głębokie, wielkie zadowolenie z poczynionych zakupów.

*M. Z.*



## Jesienne sukienki dla pań




J. 76 033 Skromna, ale bardzo miła sukienka z jasnej, deseniowej wełny, przybrana przy szyi i na rękawach ciemnym, błyszczącym jedwabiem.

J. 76 034 Sukienka z szarego twedu, rozjaśniona białym, jedwabnym kołnierzykiem i wąskiemi mankietami.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w naszej administracji za poprzedniem nadesłaniem 1,90 zł przez P. K. O. nr. 207 393.



Corocznie na jesieni odbywają się w Szwecji t. zw. „Dni Dziecka". Oto fragment z zabawy dziecięcej, odbywającej się w Sztokholmie, podczas „Dnia Dziecka".

# Ze świata

## Małpa pali cygaro

Jeden z sądów paryskich rozpatrywał niedawno osobliwą sprawę, czy wolno małpom palić cygara. Aptekarz Raymond Villiers członek francuskiej ligi ochrony zwierząt wybrał się pewnego wieczoru na przedstawienie do cyrku. Podczas przedstawienia ukazała się na arenie ubrana w strój ludzki małpa, która zasiadłszy za stołem najpierw wypiła szklankę wina, a następnie zapaliła cygaro. Publiczność pokładała się ze śmiechu i uciechy, ale monsieur Villiers uważał, że palenie bynajmniej nie sprawiło małpie przyjemności, gdyż po pewnym czasie zaczęła ona kichać i kaszleć. Wobec tego pan Williers oddał sprawę do sądu, oskarżając właściciela cyrku o znęcanie się nad zwierzętami. Właściciel cyrku zaprzeczał stanowczo, jakoby palenie sprawiało przykrość małpie i powołał się na zdania licznych rzeczoznawców. Sprawa została narazie nie rozstrzygnięta.

## Miesiąc kozy za zbójstwo kota

Opieka nad zwierzętami w Anglii postawiona jest na niezwykle wysokim poziomie. Ochrona zwierząt jest tam o wiele troskliwsza i czujniejsza, niż w innych krajach Europy. Przykładem może tu służyć zapadły niedawno wyrok w jednym z sądów londyńskich.

Niejaki Mac Ervine posiadał pod Londynem rozległy ogród, który otaczał troskliwą opieką. Pewnego dnia zauważył, że kwiaty jednego z klombów były zniszczone. Mac Ervin postanowił przychwycić szkodnika. Zaczaił się wczesnym rankiem w ogrodzie i po upływie kilku godzin ujrzał grasującego po kwietnikach kota, który należał do sąsiada.

Gdy kot zbliżył się do Mac Ervinea, ten zadał mu kilka śmiertelnych ciosów nożem.

Świadkiem tego barbarzyństwa był przygodny przechodzień.

Mac Ervine zasiadł na ławie oskarżonych pod zarzutem okrucieństwa.

Sąd skazał mordercę kota na miesiąc więzienia.

## Kolorowi amerykanie nawracają się

Przed 500 laty istniało w Stanach zaledwie 15 kościołów dla kolorowych mieszkańców, które obsługiwało 15-tu duszpasterzy. Dziś ogólna liczba kościołów dla samych tylko murzynów wynosi 221 kapłanów, zatrudnionych przy tych kościołach jest razem 279. Prócz tego murzyni posiadają obecnie 189 szkół parafialnych, 15 sierocińców, 7 internatów, 3 szkoły przemysłowe, 49 szkół wyższych, 1 kolegium, mniejsze i większe seminarium. Przeszło 35.000 dzieci murzyńskich otrzymuje w ten sposób wykształcenie w szkołach, w których pracuje około tysiąca zakonnic, należących do 35 różnych zgromadzeń zakonnych, oraz 200 nauczycieli świeckich. Dodać trzeba, że personel nauczycielski rekrutuje się także niemal wyłącznie z murzynów.

Ogółem zamieszkuje Stany Zjednoczone 12.500.000 murzynów, śród których jest około 250.000 katolików.

Co do Indian, to mniej więcej trzecia ich część stanowią katolicy. Jeszcze przed 50 laty katolicy stanowili zaledwie 1/5 część ludności indyjskiej. W ciągu 1935 roku nawróciło się na katolicyzm 1.372 Indian.

## Łowca królewskich myszy

Ewentualne zaręczyny króla angielskiego wsławiły szereg zagadnień etykiety dworskiej, granicząccych nieraz wprost ze śmiesznością. Istnieje tam jeszcze do dziś dnia szereg godności dworskich, które trwanie swe zawdzięczają jedynie uporczywej wytrzymałości, z jaką Anglicy przestrzegają wiekowych tradycyj. Dwóch takich dygnitarzy wywodzących godność swą jeszcze z wieków średnich, skasował dopiero król Edward VII: królewskiego piwosza i łowcę myszy królewskich. Ten ostatni pobierał około 1900 roku pokaźny wcale dochód roczny — 10 tys., oprócz innych dodatków na łapki i utrzymanie kotów. Dla piwosza był dochód 2.000 zł rocznie, lecz pan ten dysponował wszystkiemi butelkami, jakie zbierano ze stołu królewskiego.

Król Edward VII zniósł także funkcje otwierania poczty butelkowej, ustanowionej, w czasie panowania królowej Elżbiety. Zdarzyło się wówczas, że królowa o zajęciu wybrzeżu Nowej Ziemi dowiedziała się dopiero ze znacznem opóźnieniem i to z przesłanej w butelce wiadomości, skierowanej do pierwszego lorda admiralicji. Wobec tego zamianowany został tenże lord otwieraniem butelek, wyrzucanych przez wodę na ląd.

Królowa Wiktoria zniosła także jeden z niezwykłych urzędów, a mianowicie królewskiego zastępcy królewskich dzieci. Dygnitarzowi temu przypadło w udziale niewdzięczne zadanie brania w skórę za dzieci królewskie. Upłynęło też dopiero pięć lat odkąd skasowano odwach przed Bankiem Angielskim.

Tadeusz Rawicki.

# JESIEŃ

(Nowela)

Wiał lekki chłód jesiennego zmroku.

Stary park posmutniał teraz jeszcze bardziej i zdchł. Bezlistne drzewa, stojące w nim, drzemały.

Halina szła po kobiercu zżółkłych liści, nie wiedząc dokąd właściwie idzie i poco? Czuła, że nagli ją siła tajemna i jakby przeczucie Szła bez wytkniętego celu, a przecież coś jej w głębi mówiło, że powinna iść.

Park kończył się. W oddali zamajaczyły szare plamy zoranych pól, otulonych mgłą.

Nagle przebiegł Halinę dreszcz. Stanęła, gdyż na ławce, wciśniętej pod krzew leszczyny spał młody mężczyzna. Kosmyki jego kruczych włosów wysuwały się spod czapki, muskając przystojną twarz.

Zbudzony szelestem kroków zerwał się z ławki. W jego oczach było zdziwienie.

— Bardzo panią przepraszam, mówił, zdejmując czapkę, ja zaraz stąd odejdę.

— Pan odejdzie?

— Tak, pani, muszę.

— Dokąd?

Wskazał ręką.

— W pola? — zdziwiła się — Tam przecież wicher, mgła i noc.

— Wiem, lecz to są właśnie żywioły sprzyjające moim zamiarom.

Halina poczuła znowu zimno biegnące wzdłuż ciała.

— Kim więc pan jest? — spytała, podrażniona tajemniczością.

Zaśmiał się dziko, niesamowicie.

— Pani chce wiedzieć kim jestem? Liściem rzucanym w jesieni przez wiatr. We mnie jest również jesień. Odchodzę.

Oczy błyszczały mu źle, gdy to mówił.

— Pan nie odejdzie stąd, ja nie puszczę — rzekła, chwytając go odważnie za rękaw. Wiem, co pan chce uczynić. Pan jest okrutny.

Został.

W tej samej chwili silniejszy podmuch wiatru zgarnął leżące w alei zeschłe liście. Zaszeleściły złowrogo.

— Słyszy pani, nawet liście skarżą się...

— Niech pan zapomni o tem — przerwała mu.

— Mimo wszystko nie chcę żyć — powtórzył — Po śmierci podobno jest inne życie bardziej urocze.

— To prawda, lecz nie dla samobójców.

— Pani tak mówi?

— Ja. Każdy powie panu to samo.

Zaniepokoił się. Widać było, że zastanawia się nad czemś. Możliwie dopiero teraz pojął ohydę czynu, jaki zamierzał popełnić.

— Zatem oszczędzi pan siebie? — nalegała.

— Oszczędzę — przyrzekł wzruszony.

Potem wymienił swoje nazwisko, dodając „bezrobotny magister praw".

Halina przedstawiła się również.

W sekundę później ich dłonie splotły się w mocnym uścisku.

— To dziwne, że pan jest bez zajęcia...

Zawstydził się, chociaż tego nie dostrzegła w gęstniejącym mroku.

— Pani już wie. Nie mając posady, chciałem...

— Zabić się! — dokończyła.

Potwierdził skinieniem głowy.

Halina westchnęła smutnie.

— Wiem dobrze, że dziś trudne czasy, dlatego chcę panu pomóc.

— Pani?

— Tak, ja.

Dam panu pracę w zarządzie dóbr. Pan jako prawnik...

Przylgnął z wdzięczności ustami, do jej rąk.

Halina wyrwała lekko dłonie z uścisku, czując na twarzy gorąco. Głos jej cośkolwiek drżał, gdy mówiła:

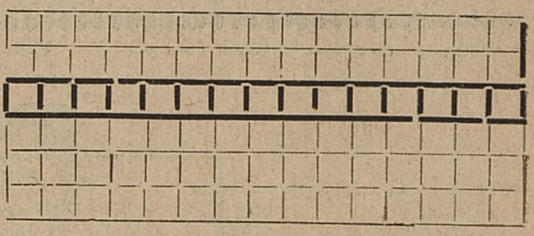
— Proszę pana do dworu. Tam pomówimy dokładnie o wszystkiem.

Poszli szpalerem starych drzew, zasłuchani w szelest opadłych liści.

## CHWILA ZASTANOWIENIA

Logogryf

ul. Mira T.



W powyższe pola wpisać pionowo piętnaście sześcioliterowych wyrazów, tak, aby trzeci poziomy rząd dał rozwiązanie.

Wyrazy pomocnicze: 1) Stepy amerykańskie. 2) Imię żeńskie. 3) Owoc. 4) Miasto w Polsce. 5) Państwo w Azji. 6) Drobne światło słoneczne. 7) In. kolumnada. 8) Urwisko (wspak). 9) Żałobny utwór. 10) Stopień marynarza. 11) In. rozejście się małżonków. 12) Przedstawiciel ludów północnych, które brały udział w wędrówkach narodów. 13) In. kłopot. 14) Rodzaj małpy. 15) In. niewypukły.

Bilety wizytowe

RENA ROTTARS

MIKA WIOREŻO

TOFI GYPRESTA

Odgadnąć zawód właścicieli powyższych biletów.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 30 bm.

Rozwiązanie zadań z nr. 41. „Moich Powieści" Zadanie historyczne: 1. Chłopicki, 2. Nabielak, 3. Sowiński, 4. Platerówna, 5. Skrzynecki, 6. Krukowiecki, 7. Prądzyński, 8. Chłapowski, 9. Chrzanowski, 10. Dwernicki, 11. Rybiński, 12. Dembiński. Całość: Piotr Wysocki. Szarada: Czartoryski.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Nina Popławska — Lwów, Maria Słoniewiczówna — Grodno, Aureljusz Koziński — Kostopol, „Janko z Wołynia", Eliza Safjanówna — Poznań, Kamilla Werbanówna — Brzezie, Józef Podlasiak — Skalmierzyce, Anna Słobodzianka — Kalisz, „Well".

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Ninie Popławskiej z Lwowa i Józefowi Podlasiakowi z Skalmierzyc.

czyż już sam mój przyjazd nie oznacza, że jest inaczej?... Pragnęła pani moją... przyjaźń wystawić na próbę i ja bez wahania przyjąłem wszystkie warunki. Przznam się otwarcie, że dla mnie była to próba naprawdę bardzo ciężka. Ach, jak bardzo tęskniłem za panią! Kilka razy brała mnie, zdawało się niezwalczona ochota wyjechać do miejsca pobytu pani, aby móc z panią zamienić choć kilka słówek, ale nie mogłem tego uczynić. Niestety wiązało mnie okrutne przyrzeczenie. Przez cały rok musiałem staczać z sobą ciągłe walki... Za to, kiedy nareszcie nadszedł lipiec, czemprędzej porzuciłem Poznań, aby pierwszy witać panią, wracającą do domu. Tymczasem tutaj na miejscu, dowiedziałem się, że pani wyjechała dziś do swoich krewnych, skąd miała pani powrócić dopiero po upływie paru tygodni... Dlatego też w pierwszej chwili nie chciałem wierzyć oczom, gdym panią ujrzał tu, w ogrodzie...

W czasie, gdy to mówił, wolnym krokiem okrążyli ogród i główną aleją skierowali się w stronę willi.

Janka ciekawie z pod oka obserwowała młodzieńca.

— Więc i tego roku tutaj pan spędza wakacje? — zapytała po chwili, a w jej oczach zamigotały figlarne ogniki.

Zdzisław nie spuszczał wzroku z jej twarzyczki. Janka wydawała się mu w tej chwili tak cudnie piękną i powabną, że mimo przytomności umysłu dopiero po chwili zdobył się na odpowiedź.

— Tak pani — odparł niejako z wahaniem. — Pragnę spędzić tu swoje „wakacje“ i...

Zawahał się, spojrzawszy ukradkiem na roześmianą dziewczynę.

— I...? Przybył pan jeszcze w innym celu?

— Zgadła pani.

— Wolno zapytać w jakim?

Uniósł głowę i spotkał jej wzrok przyjazny i szczery. Zaryzykował więc:

— Pani powinna domyśleć się.

— O...! — Janka spiekła raka i zamilkła zakłopotana.

Postępowali dalej w milczeniu. Wokół nich panowała niezwykła cisza, tylko od czasu do czasu z dali dolatywały wesołe i jakby tłumione młode śmiechy, a w gąszczu zieleni ptactwo, gotując się na spoczynek, kwiliło cicho.

Słońce już dawno schowało się za linię horyzontu i mrok poczynał zwolna otulać ziemię.

W pewnej chwili, kiedy bujna zieleń przesłoniła willę przed ich oczyma, Zdzisław przystanął, powstrzymał również swą towarzyszkę.

— Panno Janeczko — powiedział cicho. — Ja nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi na swoje pytanie...

— Na pytanie? — zdziwiła się. — Nie przypominam sobie, aby pan pytał mnie o co w tej chwili.

— Ależ ja mówię o pytaniu, jakie zadałem pani zeszłego roku. Pamięta pani?... Na odpowiedź na to pytanie kazała mi pani czekać cały długi rok! — dodał z lekkim wyrzutem w głosie.

— A... teraz przypominam sobie. Chciał pan wiedzieć, czy zachowam dla niego odrobinę (dlaczego tylko odrobinę?) przyjaźni, prawda?

— Tak. Wiem, że to jest zuchwałość z mej strony, ale teraz ponawiam to samo pytanie: Panno Janeczko, czy zachowała pani w swym serduszku choć odrobinę miejsca na uczucie przyjaźni dla mnie?... Nie odpowiada pani?

— Czyż koniecznie musi pan usłyszeć, że zachowałam o panu miłe wspomnienie?... Tak. Pan jest pierwszym mężczyzną, który pozyskał moją całkowitą przyjaźń.

— Dzięki, panno Janeczko — wyszeptał. — Bardzo miło mi to słyszeć...

— Znamy się jeszcze bardzo mało, ale jestem pewna, że nasza przyjaźń wzmocni się jeszcze, gdy poznamy się bliżej, prawda panie Zdzichu?

Zamiast odpowiedzi wziął jej rękę i na drobnych paluszkach złożył gorący pocałunek.

Kiedy po chwilce ruszyli dalej, Janka z całą ufnością wsunęła rękę pod ramię swego towarzysza.

— Gdzie pan zamieszkał? — zapytała po krótkimm milczeniu.

— Jakto! Pani naprawdę nie wie? Pan Krański nic pani nie powiedział?

— Mój ojciec? — zawołała zdziwiona, a zarazem i uradowana Janka. — Ojciec opowiedział mi tylko, że ma u siebie w willi dwóch letników, przyczem wymienił tylko jedno nazwisko. Drugiego nie chciał wymienić, powiedział tylko, że jest młody i jego znajomy. Ja zaś domyślałam się, że tym ojca młodym znajomym, to nikt inny, lecz tylko pan...

— Naprawdę? Nie zapomniała pani o mnie, panno Janeczko?...

Ogarnął ją spojrzeniem pod którem Jance zrobiło się dziwnie gorąco. Odwróciła głowę, aby ukryć zmieszanie.

Nie odpowiedziała na pytanie, a natomiast, uderzona jakąś myślą, nagle zapytała:

— Panie Zdzisławie, a gdzież to pan zapodział swego towarzysza?

— Mego towarzysza? O kim pani mówi?...

— O, już pan zapomniał o wszystkiem, co działo się przed kilkoma minutami?

— Przyznam się szczerze, że w pani towarzystwie gotów jestem rzeczywiście zapomnieć o wszystkiem, co nie tyczy się pani.

— Niepoprawny pochlebca z pana. Ale dopomogę panu... Chyba pamięta pan to, że zanim wszedł pan do ogrodu, był pan w towarzystwie jakiegoś młodego mężczyzny...

— A..., pan Tulczyński! Zapomniałem o nim zupełnie. Gdzież on to się zabłąkał? Ach, prawda. Podążając naprzeciw pani, zostawiłem go na alei nadbrzeżnej, gdzie tak nagle osamotniony, nudził się zapewne i, nie narzekając na mnie, wrócił do willi.

— Do willi?... Ach, teraz już wiem. To musi być ten literat, o którym opowiadał mi ojciec.

Zdzisław uważniej spojrzał na mówiącą. Widocznie nie bardzo go ucieszyło to, że Janka zainteresowała się młodym literatem, bo prawie niedostrzegalna chmurka osiadła na jego czole. Odparł jednak swobodnie:

— Owszem. Podaje się za literata, choć kto go tam wie! Nie widziałem, aby kiedykolwiek pisał jakie utwory. Ale zdaje się, opowiadał, że przyjechał tu dla poratowania swego nadwyrężonego zdrowia. Utrzymuje, że zdala od miasta pragnie wypocząć, aby potem, ożywiony zdrowem wiejskiem powietrzem, mógł z nowym zapałem zabrać się do męczącej pracy umysłowej... Zresztą to dość sympatyczny człowiek, choć trochę dziwak.

— Czy pan się z nim posprzeczał?

— Nic podobnego. Dlaczego pani pyta?

— Bo zauważyłam, że kiedy rozstawał się z panem, był jakby wzburzony i czegoś zagniewany.

— To pewno się tak pani zdawało, Janeczko. Prowadziliśmy z sobą ożywioną rozmowę, która jednakże ani na chwilę nie zeszła z przyjaznego toru. Prawda, że zostawiając go samego na alei...

(Ciąg dalszy nastąpi)

# Radość życia

*powieść*

## X

Idąc przed siebie, wiele myślałem o pięknej Halii i jej Konstantynie. Czyż los mój z dni ostatnich nie przypominał do złudzenia jej losu? Toż i ja kocham tak samo ogromnie, jak ona, i ja czekam odmiany losu, tęsknię i cierpię. Idę oto szukać straconego szczęścia, którego miałem dopiero przeczucie. A jakiż będzie tych moich poszukiwań rezultat? Idę i dojdę lub na szlaku zginę, a wtedy nigdy już nie zobaczę mojej Niobe.

Nie zobaczę?

To być nie może. Ona przecież wyraźnie powiedziała, że wierzy w mój powrót. A więc znowu się spotkamy, napewno spotkamy. Jestem tego w tej chwili tak pewien, jak dzisiejszego dnia słonecznego.

Pod wpływem tych myśli — raźniej mi się jakoś na duszy zrobiło. Monotonia krajobrazu, samotność, zwątpienie — już mnie teraz nie nużyły, nie gnębiły i nie odbierały wiary w przyszłość, która musi być świetlana, jasna i słoneczna. Ten „marsz koplistów", krwią serdeczną moją pisany na chitonie — to klucz do odnalezienia Niobe i rozwiązania jej zagadki. —

W pewnej chwili przyłapuję się na tem, że znowu wpadłem był w marazm najsprzeczniejszych uczuć, będących wynikiem i pozostałością poprzedniego mojego życia. A przecież jestem od niego oddalony o tysiąc mil i nie tęsknię za nim zupełnie. Przeszłość tamta, dawniejsza, minęła bezpowrotnie i jeśli wskrzeszę ją kiedykolwiek, to napewno już w innej formie i innej postaci, do pierwszego życia z dni dawnych.

Wstępuję teraz w kraj najeżony urwistemi i wysokiemi skałami. Zwisają nade mną jak groźne i nieciosane obeliski, rękami cyklistów tu porzucone. Kiedy przesuwam się koło nich, to mam wrażenie, że za najmniejszym szelestem są one gotowe runąć i zmiażdżyć mnie. Zostałby wtedy ze mnie jeden ociekły krwią strzęp i to byłoby wszystko, coby pozostało ze mnie, Sewera Jargi, sławnego muzyka i włóczęgi, który ujrzał świat pod melancholijnem niebem Polski, a zamknął oczy w górach Macedonii.

Przychodzi mi to na pamięć i myślę o tem, choć wiem, że nic podobnego się nie stanie. Te skały, w tej samej formie, stały tu już tak przed Aleksandrem Wielkim i długo jeszcze po mnie stać będą.

Mech, obrastający żywą zielenią skały i rzadkie jałowce, niby stożkowate cyprysy na cmentarzach Lewantu, to jedyne rośliny tutaj. Nic innego ze świata flory nie dostrzega tutaj oko moje, choć wędruję wciąż i coraz wyżej, wstępując krok za krokiem w zaczarowany świat skał i urwisk, dzikich i groźnych, ale przez tę dzikość swoją właśnie pięknych.

Długo nie spotkałem tu żadnego zwierza, jeśli nie liczyć drobnych ptaszków, które siadywały wysoko nade mną na grzbietach skalnych i, kołysząc filuternie swoje ogonki, przyglądały mi się ciekawie i uważnie, a potem ćwierkały coś, czego ja jednak nie rozumiałem. Potem i kozice śmigać poczęły ponad najniebezpieczniejszemi przepaściami. Czasem taki wspaniały rogacz wdrapywał się hen, na najwyższy szczyt górski i tam stawał w swej dumnej, wyzywającej postawie, oblany z góry słońcem, rzucając na dalekie skały swój cień dostojny i uwielokrotniony jak posąg wspaniały, kuty w granicie.

Ścieżka moja była, jak się zdaje, jakimś często uczęszczanym szlakiem górskim, którym chadzały liczne karawany, bowiem wydeptana była i utarta, a w niektórych, zbyt niegdyś wąskich miejscach, sztucznie nawet poszerzona.

Im wyżej się wspinałem, tem więcej gruntowała się we mnie jakaś przedziwna wiara, której nie rozumiałem w sobie. Może ta dzikość i pierwotność natury, jaka mnie otaczała, może przedziwny spokój i cisza, jakiemi wszystko dokoła tchnęło — tak na mnie podziałały — nie wiem. Dość, że czułem ogarniający mnie spokój i ukojenie, których nic nie mąciło.

Najchętniej pozostałbym tutaj na dłużej, ale ilekroć dotknąłem piersi, gdzie spoczywał ukryty zapisany chiton melodią mi objawioną, podrywałem się do dalszego biegu naprzód, przed siebie, gdyby mnie kto znienacka zapytał, czego się spodziewam, na końcu tej drogi, napewno nie umiałbym mu odpowiedzieć. Spodziewałem się czegoś u kresu mej wędrówki, ale czego — nie wiedziałem. Jakaś nadzieja we mnie była, jakaś ufność prostaczka, który się nie zastanawia nigdy, dlaczego ufa. Czuje potrzebę wiary i ufności, więc ufa. I to wszystko.

## XI

Czyście widzieli kiedy góry w nocy? Góry dzikie i ponure, z któremi człowiek, marna istota porzucona w wszechświecie, pozostaje sam na sam i dziwi się ogromnie, że tak marnym jest pośród innych dzieł przyrody.

Nade mną zwisa najcudniejsze niebo, mrugające oczami gwiazd i wpatrujące się temi miljonami swych oczu we mnie. A wtedy wydaje mi się, że jestem bliższy nieba i jego gwiazd, bliższy wszechświata i bliższy Boga. I mam takie odczucie, takie utajone we mnie przekonanie odzywa się teraz, że rozumiem, co niebo przemawia do mnie, co szepcą gwiazdy i co głosi ta pustka i cisza górska, która aż przeraża swoim spokojem.

Miejsce, na którym się zatrzymałem, aby spędzić noc, pustynne jest i dzikie. Za dnia jeszcze uzbierałem trochę suchego mchu, jałowcu, trochę drzewa, Bóg wie, przez jakie siły tu przyniesionego i rozrzuconego po załamach skalnych, a teraz siedzę przy wesoło płonącym ognisku, grzeję się i wpatruję pilnie w płomyki, obejmujące swemi niszczycielskiemi językami drzewo trzaskające i czuję się tak dobrze, jakbym siedział w domu, w zacisznym pokoju. Moje myśli wybiegają daleko w przyszłość, lub cofają się w dni zbiegłe i szukając wszędzie Niobe, odnajdują ją i za największą rozkosz poczytują sobie przebywanie z nią i odtwarzanie przeszłości, tej przeszłości, która już minęła, a czy wróci w tej samej postaci — któż zgadnie.

Drzewo zwęgliło się już i płomyk zniknął. Ale ogień tli jeszcze i udziela życiodajnego ciepła. Okręcam się w resztki mego pasterskiego chitonu, układam pod załomem skalnym na miękkim mchu i wkrótce zasypiam twardym snem młodości po długiej i męczącej drodze.

Jak długo spałem nie mogłem określić. Zbudziłem się nagle pod wpływem dziwnego strachu, który przenikał mnie całego. Usiadłem raptownie i próbowałem zorjentować się, co mnie takim lękiem natchnęło.

Niewyraźny szmer, jakby skradających się czyichś kroków, dobiegł mych uszu. Powstałem. Szmer ucichł.

Pochyliłem się nad ogniskiem, chcąc doszukać się w niem iskry, którąbym mógł rozdmuchać, ale nie zdążyłem jeszcze wypuścić z siebie pierwszego tchu, gdy zaraz zwaliło się na mnie coś ciężkiego i czyjś uścisk żelazny poczułem na szyi. Padłem twarzą w popiół, poczem błyskawicznie próbowałem zrzucić z siebie napastnika — daremnie jednak. Zaczęliśmy szamotać się i koziołkować na wielkiej, półkulistej platformie, przeciętej niby cięciwą, ogromną rozpadliwą, gdy w pewnej chwili poczułem, że kilka par rąk ludzkich uczepiło się mego ciała i przygwoździło mnie do twardej skały. Nade mną pochyliła się brodata twarz pierwszego mego napastnika z oczami fosforycznie błyszczącemi w mroku, a z ust jego wyszedł groźny pomruk jakby niedźwiedzia:

— Milcz, zdrajco, lub żegnaj się z tym światem!

Nie odpowiedziałem nawet, wciąż jeszcze biorąc to wszystko za złudzenie lub zły sen. Kiedy mnie jednak spętano na rękach i nogach, kiedy postawiono mnie pod tym samym załomem skalnym, pod którym spałem, a dokoła zobaczyłem kilka postaci ludzkich, zdałem sobie dopiero sprawę, że to bynajmniej nie urojenie, ale najbardziej prawdziwa rzeczywistość. Nie mogłem jednak w żaden sposób pojąć przyczyny tej napaści na mnie.

Jakiś młody, jak mogłem zrozumieć z głosu, człowiek, snać przywódca tych ludzi, dał rozkaz do odmarszu i natychmiast dwóch szerokopleczystych drabów porwało mnie, związało i wzięło potem na ramiona i poniosło boczną ścieżyną górską w nieznaną mi drogę, gdzieś w bok od mego szlaku.

Teraz dopiero zacząłem zastanawiać się nad całem zajściem spokojnie i trzeźwo i doszedłem do wniosku, że to niewątpliwie przykra pomyłka tylko, która niebawem się wyjaśni. To mnie poniekąd uspokoiło. Wszystko to nawet do tego stopnia mnie ubawiło, że najchętniejbym począł głośno śmiać się, gdyby nie to, że więzy na rękach i nogach boleśnie mi doskwierały, co stwarzało całą przygodę mniej wesołą.

Szliśmy dość długo, to w górę, to znowu wdół; poznawałem to za każdym razem, gdyż głowa moja to podnosiła się, to znów opadała nisko.

Po jakichś dwóch godzinach zbliżyliśmy się snać do jakiegoś osiedla, gdyż coraz liczniejsze głosy dawały się słyszeć dokoła, gdzieś daleko zaszczekał pies, brzęknął instrument muzyczny, lub urwana piosenka uderzyła o moje ucho.

Próbowałem wymiarkować coś z tych odgłosów zewnętrznych, lecz wszelkie wysiłki okazały się bezowocnemi. Wszystkie te głosy brzmiały zupełnie niezrozumiale dla mego ucha. Jaki to był język — nie wiedziałem, ale że nie był to grecki, tego byłem pewien.

Porzucono mnie na kupie jakichś juków, zamknięto drzwi komory i ciemność zupełna otoczyła mnie wokoło. Spoczątku leżałem spokojnie, zasłuchany w ciszę, która aż dzwoniła mi w uszach. Potem do wyostrzonego mego słuchu dobiegły pojedyńcze jakby skłócone, głosy, zrazu rzadsze, urywające się nagle i milknące na pewien czas, to znowu podnoszące się chórem, rozwrzeszczane, namiętne, hałaśliwe.

Zapewne był już na bożym świecie dzień jasny i słoneczny, lecz do mojej komory nie przedostawał się najdrobniejszy promyk dnia.

Zwolna zaczynałem się oswajać z mrokiem i bystre oko moje zaczynało widzieć w ciemności. Dostrzegałem tedy ogromne kufry, jakieś tłumoki, bele i paki, niby piramidy, ułożone jedne na drugich i tworzące coś w rodzaju skalnych urwisk.

Teraz już głosy z zewnątrz nie interesowały mnie wcale. Cokolwiek tam one uradzały, ja w niczem nie jestem w stanie odmienić ich decyzji, cóż mi więc przyjdzie z wsłuchiwania się w nie i zastanawiania nad tem? Zresztą, ja ich nie rozumiem wcale.

Odciągam wtedy moją uwagę w innym kierunku i zaczynam myśleć o Niobe. Dziwna rzecz! Dlaczego, kiedy zaczynam myśleć o mojej pasterce, taki przedziwny spokój sączy mi się do duszy? I taka ufność obejmuje moje serce miękkim, ciepłym uściskiem. Mam niemal pewność, że nic złego stać mi się nie może. Gdyby te rzemienie na rękach i nogach nie doskwierały tak boleśnie i gdyby nie głód, który zaczyna dawać o sobie znać groźnem burczeniem żołądka — czułbym się wcale dobrze.

Rozmyślania moje przerwał brzęk wrzeciądzów przy olbrzymich kowanych sztabami żelaza drzwiach, skrzyp ich otwierania i w ramie drzwi stanął olbrzymi mężczyzna, mówiąc coś do mnie bardzo ochrypłym głosem. Ponieważ zachowałem się obojętnie i nie zwracałem uwagi na jego słowa, przemówił do mnie po grecku:

— Hallo, człowieku! Wstań i chodź tutaj.

— Wstać? Rozpętaj mi wprzód nogi, inaczej nie jestem w stanie się podnieść — odrzekłem.

Mój centaur zawarczał coś pod nosem, ale postąpił ku mnie i rozmotał mi rzemienie na nogach i rękach, poczem postawił mnie za kołnierz na nogi i popchnął przed siebie.

W chwilę później znalazłem się w długiej, ale niskiej i zakopconej izbie, w której tłoczyło się kilkunastu mężczyzn. Na mój widok wszyscy odwrócili się do mnie twarzami, jakby wszyscy czekali mego ukazania.

Stanąłem niezdecydowany na środku izby, rozglądając się ciekawie dokoła. Spostrzegłem, że izba jest szynkownią, a ci wszyscy ludzie? Już zdaleka czuć w nich było przemytników.

Jakiś zresztą krótki czas trwało milczenie, w czasie którego badaliśmy się wzajem wzrokami, wkońcu jeden z mężczyzn, wysoki, barczysty i bardzo piękny młodzian, o twarzy orła, ale nad wyraz szlachetnej, wybuchnął śmiechem, a za nim wszyscy inni. Hałasowali tak około kwadransa czasu, wreszcie ów mężczyzna rozepchnął stłoczonych przy sobie towarzyszy, postąpił krok naprzód i kiwnął na mnie palcem:

— Zbliż się cudzoziemcze.

Anim drgnął. Owo tak poufałe kiwanie palcem uraziło mnie do głębi; postanowiłem zaoponować.

— Sądzę, że możemy z powodzeniem rozmawiać z tej odległości, jaka nas w tej chwili rozdziela.

Piękny młodzian znowu się roześmiał i szepnął coś stojącym przy nim mężczyznom. Dwóch z nich podeszło do mnie i przystąpiło do rewizji. Nie broniłem się przeciwko temu. Oprócz nut, książek i drobnych monet — nie posiadałem nic więcej. A z tych posiadanych przedmiotów, żaden chyba nie przyda się na nic tym ludziom.

Dwaj przemytnicy rewidowali mnie z wprawą nabytą snać przez długie doświadczenie. Obszukiwali mnie skrupulatnie, lecz nie znaleźli, jak dotąd, nic podejrzanego. Wtem, już w chwili prawie, gdy mieli zaprzestać dalszych przeszukiwań, jeden z nich sięgnął mi za koszulę na piersiach, namacał tam mój kawałek chitonu, zapisany krwią moją i tryumfalnie wydostał go na wierzch. Trzymając materiał w dwóch palcach na wysokości twarzy, pokazał go towarzyszom, jakby się szczycił zdobyczą. Wkońcu podał materiał młodemu mężczyźnie o typie orła górskiego.

— Co to jest? — zapytał ów, przyglądając się nutom, pisanym krwią. — Co to za znaki?

— Pismo tajemne — szepnął ktoś. — To szpieg policji i żandarmów.

— Na gałąź z nim!

— W łeb mu palnąć, sprzedawczykowi.

— Hej, Princip, chodź tu, tyś w piśmie biegły, — zawołał przywódca na opasłego szynkarza, ubranego po albańsku.

Princip wytoczył swoją kupiastą postać w nieprawdopodobnie szerokich spodniach i takimże kaftanie z za szynkwasu i zbliżył się do grupy mężczyzn, debatujących nad tajemniczem pismem. Wziął do rąk materję, długo wpatrywał się w pismo, wreszcie rzekł:

— Czarcie to pismo. Człowiek sprawiedliwy, choćby głowę miał jak wieża, nie odgadnie nic.

I po tych słowach zwróciwszy materiał wodzo, wi, najspokojniej poszedł na swoje miejsce za ladą.

W gromadzie poruszono się niespokojnie i kilka par oczu z nienawiścią spojrzało na mnie. Zaczęto szeptać coś między sobą, badać materjał, debatować, wkońcu przywódca nakazał milczenie i sam usiadł za stołem. Inni poszli za jego przykładem i ad hoc utworzono radę, sąd, czy coś w tym guście.

Mnie śmiech pusty ogarniał na ten widok, alem milczał uparcie, nie starając się wcale wyprowadzić tych dostojnych dżentelmenów z błędu.

Lecz oto i na mnie przyszła kolej. Mój anioł stróż, który mnie wywiódł z ciemni owego ladesu, popchnął mnie znowu naprzód i znalazłem się oko w oko z orlim młodzieńcem.

— Cudzoziemcze — rzekł mi — znaleziono przy tobie tajemnicze pismo, którem jest pokryty ten kawałek materiału. Co oznacza to pismo?

— Nic nadzwyczajnego, ani tajemniczego — odrzekłem spokojnie. — Jest to tylko zapisana melodja

— Melodja?

Szmer ogólny świadczył o wielkiem zdziwieniu, jakie wywołało moje wyjaśnienie.

— Nigdyśmy nie widzieli zapisanej melodji.

— Tego zrobić nie można.

— Ten „raija“ kłamie.

— W łeb mu palnąć i skończyć z nim.

— Daj rozkaz, Konstantino.

„Konstantino“! Czyżby ten młodzieniec o orlim wyglądzie był ukochanym pięknej Halji? W takim razie nie mam się czego obawiać — moje poselstwo wybawi mnie z wszelkich kłopotów.

Tymczasem „Konstantino“, walnąwszy pięścią w blat dębowy stołu, nakazał znowu milczenie i zwrócił się do mnie.

— Kiedyś, cudzoziemcze, widziałem zapisane melodje, ale nigdy na materji, lecz na papierze. Dlaczegoż u ciebie inaczej? Czyż zapisana melodja nie może być pismem albo poleceniem?

— Może być — zgodziłem się, przypominając sobie czytane gdzieś opowiadanie o uciekaniu się szpiegów wojennych w czasie wielkiej wojny, do tego, tak napozór niewinnego środka. — Lecz ta melodja nie oznacza nic więcej prócz melodji, której nikt dotąd nie słyszał i nikt jej nie zna.

— Tłumacz się jaśniej.

— Dobrze, opowiem wszystko, lecz tylko tobie jednemu. Nikt inny nie zrozumie z tego, co opowiem, nic.

Pochlebiło to snać bardzo Konstantemu, że go wyniosłem nad innych, bowiem zmiękczył odrazu ton swego głosu i rzekł:

— Dobrze, niech będzie jak sobie życzysz. Chodź za mną, cudzoziemcze.



Znaleźliśmy się obaj w bocznej izbie za szynkwasem, do której wejście tak było zamaskowane, w piramidę ustawionemi beczułkami, że nieznający go, długo musiałby szukać.

Całe wnętrze tej izby wyłożone było od góry do dołu najpiękniejszemi, o najcudniejszych wzorach dywanami bezcennej wartości. Znam się trochę na dywanach więc odrazu oko moje odróżnia poszczególne gatunki i ocenia ich wartość. Są tu więc dywany synajskie: piękne jak haft; bucharskie: piękne jak aksamit; czanczagańskie - najprawdziwsze minjatury! Mirejskie — rzeczy muzealne; sumackie: jednakowe na dwie strony i miękkie jak chustka do nosa.

Stąpam po tych dywanach z taką ostrożnością, jakbym czuł, że popełniam rzecz niegodną i świętokradzką. Nie rozumiem bowiem, jak można niszczyć stopami swemi rzeczy tak doskonałe, piękne i tak ogromnie harmonijne. Toż owi nieznani, ubodzi artyści, pracujący gdzieś w zaciszu, zdala od ludzi, zgiełku i ich spraw, ileż to nocy nie spali, ile dni przemyśleli, nim wreszcie zaświtał im w mózgu genjalny projekt stworzenia tego wspaniałego cacka, które ściele mi się teraz oto pod nogami, jak najmiększy puch, jaki znam!

Konstantyn spostrzegł mój zachwyt, ale nie dał mi się długo nim rozkoszować. Usiadłszy w sposób wschodni na jednej z haftowanych poduszek, wskazał mi gestem ręki drugą naprzeciw siebie i rzekł:

— Mów cudzoziemcze, co miałeś mi rzec.

Usiadłem, nie śpiesząc się i wolno zacząłem snuć opowieść - fantazję. Mówiłem tedy o moich stadach, które rzekomo posiadać miałem na pagórkach starej Altyki, o tem, jak dnia pewnego poznałem pasterkę Niobę, dla której zapragnąłem poświęcić wszystko, cokolwiek miałem najpiękniejszego w duszy, jak powędrowałem do Aten z serami (!?) i opuściłem moją pasterkę, a kiedym wrócił, już nie zastałem ani jej, ani stad.

W tem miejscu postanowiłem przejść do rzeczy zasadniczej w mem opowiadaniu.

— Rozpacz moja — ciągnąłem — była bezgraniczna. Długo szukałem Niobe, gdziem przypuszczał, że ją znaleźć mogę, długo wołałem, lecz wszystko napróżno. Wkońcu przypomniałem sobie, że kiedyś śpiewała ona swoją ulubioną piosenkę, przy pomocy której miałem nadzieję odszukać ją. Ale jakaż to była piosenka? Zacząłem sobie przypominać, i to, co przypominałem, spisywałem krwią moją serdeczną na kawałku materji mojego chitonu, gdyż nic innego nie posiadałem. Tak powstała ta melodja, którą znaleziono przy mnie.

— I cóż, znalazłeś swoją dziewczynę?

— Niestety, dotychczas nie. Ale odnalazłem ślady nóg jej stada i poszedłem za niemi aż tutaj. Nocowałem gdzie padło lub w puszczy, żywiłem się zapasami własnemi lub ofiarowanemi mi przez pasterzy greckich. Tam prawo gościnności jest rzeczą świętą do dziś.

Konstantyn był zadumany głęboko i w tem zamyśleniu swojem powtórzył za mną:

— Tak, tam prawo gościnności jest rzeczą świętą.

— Pewnego wieczoru — ciągnąłem — zatrzymałem się w szałasach pewnego starego pasterza, gdzie poznałem dziewczynę wielkiej urody, ale tak smutną, jak matka bolejąca po stracie jedynego dziecięcia. Halia było jej imię...

Ciąg dalszy nastąpi.

BRESZKO - BRESZKOWSKI

16)

# Skarby Chana Mugańskiego

*Powieść sensacyjna* *Tłum. Jerzy Laskowski*

Idąc, Gafani fizycznie wprost odczuwał ten wzrok na swoich plecach.. Wyczuciem psychologa awanturnik zgadywał, że właśnie Kerim jest dla niego tu najniebezpieczniejszy, Kerim, ten mugański jastrząb, któremu czas nie stępił szponów i nie zamglił ostrego, badawczego wzroku.

„Trzeba się śpieszyć, wszelka zwłoka może pociągnąć za sobą rozbicie wszystkich planów. Prędzej, prędzej wywieźć skarby, ażeby zniknąć razem z nimi i... może... razem z Mar-Molli. Dopiero wtedy można będzie odetchnąć swobodniej!“

A narazie, narazie, Gafani długo jeszcze czuł na sobie wzrok Kerima, niby doń przylepiony.

— Wstrętny, niepotrzebny starzec!

Poza nienawiścią do wiernego sługi i niepewności, co do niego, było jeszcze coś:

Gafani często wchodził w porozumienie ze swojem giętkiem sumieniem, które rzadko wyrzucało mu te lub inne ciemne sprawy, ale dany wypadek był zupełnie inny, nie podobny do tamtych.

I gdy Ałmaz - Chan poznał w nim wnuka, i kiedy pokazywał mu koronę, nie wątpiąc, że ta korona winna zdobić jego skroń, w tej chwili Gafani gardził sobą. Ale nie dlatego, że zamierzał podstępem przywłaszczyć sobie cudze skarby, tylko dlatego, że podstępem przywłaszczył sobie cudze imię dzięki czemu zdobył zaufanie, uznanie i honory. Gafani znalazł się w sytuacji złodzieja, kradnącego nietylko skarby, ale i najlepsze odruchy duszy ludzkiej, duszy człowieka o wielkiej sile moralnej, o wielkiej szlachetności rycerskiej...

Ale tak było tylko na początku, pod świeżem wrażeniem, a już na placu Vendome, wchodząc do swojego hotelu, Gafani otrząsnął się z wszelkich wątpliwości. Tak lepiej. I zresztą, Z kim miałby się liczyć? Ze starym Azjatą - fanatykiem, którego dni są policzone?

Czy nie powiedział pewnego razu śp. Ammałat, coprawda, w innych zupełnie okolicznościach:

— Nie martwi, tylko żywi rozkazują...

Tak jest, wasza wysokości, własnym przykładem przypieczętował pan prawdziwość tej teorji...

Rozkazuje nie Chan Mugański, dzielny jeździec, niedbale zakopany do ziemi przez siepaczy Barbasana, lecz żywy i w dobrem zdrowiu będący Gafani.

* * *

Gafani od dwuch dni już nie widział Mar-Molli. Zadzwonił do niej ze swoich apartamentów:

— Czy można zajrzeć do pani?

— Nie jestem sama!... nie można!

— A któż jest u pani?

— Banija d'Or. Odpoczywa po rannych zdjęciach w atelier.

— W takim razie jedźmy na herbatkę do Roumpelmayera... Szósta godzina — właśnie pora.

— Nigdzie nie pojadę!

— Więc jak będzie? Nie widziałem pani wieki całe!

— Mogę przeznaczyć dla pana pół godziny. Za kilka chwil zejdę na dół. Proszę czekać na mnie w salonie.

— Wieszam słuchawkę i lecę na dół.

W jasno-złotym salonie, utrzymanym w stylu Ludwika, Gafani zapytał Mar-Molli:

— Dlaczego pani mnie unika?

— Ja — pana? Bynajmniej! Podczas tych pierwszych dni w Paryżu miałam tyle ważnych spraw do załatwienia... Po trzech i pół miesiącach nieobecności...

— A jednak te „ważne sprawy“ nie przeszkadzają pani w spożywaniu obiadów w towarzystwie Viljegasa, i nie tylko obiadów...

— Można odnieść wrażenie, że pan jest zazdrosny...

— O kogo? O tę gigolowatą miernotę?!

— Napróżno pan go tak napastuje! To bardzo miły chłopak! Trzeba go brać, jakim jest, nie szukając nadzwyczajnego rozumu, ani głębi... A zresztą, czy dużo jest mężczyzn głębokich i mądrych?

— Ma pani rację, — to jest rzadki boży dar... Niech więc pani słucha, Mar-Molli, chcę poważnie porozmawiać z panią.

— Proszę mówić...

— Kocham panią!

— Doprawdy? Może pan coś innego bierze za miłość?

— O nie! proszę się nie śmiać ze mnie! To jest silne uczucie! Za jakąkolwiekbądź cenę gotów jestem zdobyć panią i jej wzajemność!

— Czy nawet za cenę zbrodni?

— To zależy, co nazwiemy zbrodnią... Powiedzmy — zabójstwo! Z naszego, europejskiego punktu widzenia, zabójstwo, nawet w tym wypadku, jeśli ofiara zasłużyła sobie na surową karę, jest niewątpliwie zbrodnią. Zaś u wschodnio-azjatyckich ludów — zabójstwo, jako zemsta, jako porachunek, jest czemś pochwały godnem, a zabójcę uważa się za bohatera... Proszę teraz wybrnąć z tego dylematu etycznego!..

— Spróbujmy... Mojem zdaniem, zabójstwo jest zbrodnią w tym wypadku, jeśli zostało dokonane przez osobę, która... która stoi moralnie niżej od swojej ofiary.

— To zbyt subjektywny, powiedziałbym „kobiecy“ sposób patrzenia. Ale to już jest dziedzina teorji. Pani chce wiedzieć, czy ja, jako Europejczyk, mógłbym z miłości do pani zabić człowieka? Odpowiem: tak, mógłbym!

— Czy w pana życiu, bezwzględnie ciekawem i barwnem, miały już miejsce podobne wyznania miłosne?

— Nie, nigdy! I nie dlatego, ażebym zastanawiał się nad tym krokiem, ale dlatego, że dotychczas nikogo nie kochałem. Nikogo... Pani jest pierwszą!

— Przynosi mi to zaszczyt i wzrusza mnie... — z uczuciem w głosie i odpowiednim wyrazem na twarzy odpowiedziała Mar-Molli.

— Wątpię, bardzo wątpię, gdyż pani samą nic do mnie nie czuje...

— Przypuśćmy, aczkolwiek niezupełnie jest tak... Pan wcale nie jest takim znawcą kobiet, za jakiego pana uważałam. Czy nie zauważył pan, że kobieta, która jest zupełnie obojętna do mężczyzny, wcale nie jest obojętna na jego afekty, na objawy jego przywiązania! To jej pochlebia, ona boi się go stracić... Tak, tak, jesteśmy takie, my — istoty innego gatunku.

— Czy tak jest jednak? W każdym razie to nie jest pani typ, a takich „wampów“, jak Manija, fatalnych kobiet, kobietek bez serca...

— Proszę sobie wyobrazić, że Manija jest bardzo serdeczna...

— Niech tam, — z żalem odparł Gafani, — mówię o pani, a nie o Maniji! Proszę mnie posłuchać: W ciągu tych ostatnich dni w mojem życiu zaszły

wielkie zmiany. Wprost coś bajecznego! Nie mając wujka w Ameryce, otrzymałem kolosalny spadek. Jestem teraz bogatszy od Viljegasa i Gonzalesa razem wziętych... Wszystko to składam u stóp pani... W zamian niczego nie żądam... Będę pokornie i cierpliwie czekał, aż uczucie do mnie zbudzi się w pani... Wyjedziemy z Paryża, jak brat z siostrą. Kupię jacht, pojedziemy do Indyj, pojedziemy na koniec świata... Twoja królewska postać otrzyma odpowiednie ramki. Będziesz tonęła w takiej rozkoszy, że życie gwiazdy z Hollywood wydawać się będzie pospolitą mieszczańską wegetacją.... Czy zgadza się pani? Powtarzam, to do niczego nie będzie zobowiązywało. Proszę o jedno, by tylko razem być i oddychać tem samem powietrzem! — tylko o to proszę! Proszę mówić, proszę mówić, Mar - Molli! Już dość tych cierpień!

— Cóż ja mogę powiedzieć? Pana propozycja jest tak oszałamiająca, niespodziewana. Zostałam zaskoczona. Widzi pan — cała płonę...

— Rozumiem panią... I nie żądam natychmiastowej odpowiedzi! Proszę się zastanowić. Daję pani trzy dni do namysłu. Po tych trzech dniach będę albo najszczęśliwszym człowiekiem na świecie i natychmiast pozostawimy brzegi Francji, albo... strach pomyśleć, co będzie ze mną!..

— Dobrze, dobrze! Ale narazie w głowie mi się mąci. Proszę tu pozostać i nie odprowadzać mnie...

I Mar-Molli, zerwała się z miejsca, jakby chcąc uciec od samej siebie, pozostawiając Gafaniego w ludwikowskim salonie.

Koniec drugiej części.

## CZĘŚĆ III.

### Ajaks Pecano wierzy w prawo odwetu

Wierny swoim zasadom: nigdy nie trapić się przeszłością i nie oglądać się poza siebie, Chan Mugański w dosłownem znaczeniu tej zasady nie oglądał się na szalejący wśród nocnego oceanu pożar.

Bo i poćóż?

Tam przewracały się łodzie jedna po drugiej. Albo same przez się, wypełnione ponad wszelką miarę lub przewracane umyślnie przez ludzi, którzy tracili rozum ze strachu, zazdrości i złości...

Ammałat miał tylko jedno na myśli: oszczędzać pracę mięśni, oddechu i serca.

Oddaliwszy się od ginącego okrętu i słysząc jeszcze dzikie krzyki rozpaczy, on już nie płynął. On tylko utrzymywał swoje ciało na wodzie i nad wodą. W ten sposób starczy sił i energji na kilka godzin. A zwłaszcza, jeśli od czasu do czasu będzie odpoczywał na plecach w ciepłej wiosennej wodzie i w zupełnej ciszy.

I jeszcze jeden warunek, o którym pamiętał z doświadczenia: o niczem nie myśleć, a raczej — myśleć tylko o kontroli! Kontroli ruchów, doprowadzonych do największej oszczędności, kontroli wdechu i wydechu, kontroli serca, ażeby nieuniknione zmęczenie zachować na sam koniec.

Im dokładniej zamieni siebie z człowieka w maszynę, tem lepiej będzie dla niego.

O świcie zaczęło go ziębić!

Drętwiał już. Namoknięta bielizna przyczyniała się do tego w dużym stopniu. Zdjął ubranie. Z koszulą było gorzej. Rozerwał ją. Koszula i spodnie poszły na dno.

Ammałat kilka razy okręcił się koło siebie, jak na osi, i zrobiło mu się cieplej. Zdrętwienie powoli przechodziło.

Wielka tarcza wschodzącego słońca przypomniała także słońce ranne na pustyni. Ale wówczas Ammałat był na twardej ziemi i miał więcej nadziei...

Ocean, drzemiący w nocy, zaczął falować pod wpływem rannego podmuchu. Były to niewielkie fale, ale walka z niemi odbierała resztę zaoszczędzonych sił.

Nowy kłopot: nie zachłystnąć się, nie nałykać się wstrętnej słonej wody. Trzeba uważać, kiedy nabierać powietrza, a kiedy szczelnie zamykać usta.

A jednak fale zalewały słabnące ciało i rzucały niem, jak chciały...

Na Ammałata płynie coś wielkiego. To nie jest rekin, gdyż ten rzuca się na swoją ofiarę zawsze od dołu, z głębiny, a nie zgóry. To był osmalony kawał masztu, a na nim człowiek, kurczowo trzymający się rękoma.

Chan poznał w nim annamitę.

Czarne, wielkie zęby — wyszczerzone.

W oczach — martwa, szklana próżnia zamiast wyrazu przerażenia.

Jakże chwytał się życia ten żółty człowieczek!.. Z daleko większym uporem od wielkich białych ludzi...

Zachłystnął się wodą? Czy rozpacz go zadusiła i przerażenie?..

Zresztą, czy nie wszystko jedno? I czy to jest takie ważne? Ważne jest to, że kawał masztu nie jest więcej potrzebny martwemu annamicie, lecz jest bardzo potrzebny żyjącemu, dotychczas jeszcze żyjącemu Chanowi Mugańskiemu.

Ammałat był silny. Chęć zawładnięcia tą niby tratwą zwiększyła jego siły, ale i on nie mógł oderwać martwych palców annamity, który jakby na wieki wieczne postanowił płynąć z fali na falę razem z kawałkiem osmalonego drzewa...

Nie! Tak nic się nie da zrobić!

Ammałat pokonał w sobie odrazę i próbował zepchnąć żółtego człowieka. Wreszcie annamita ześlizgnął się z drewna do wody, jego ręce pozostały w temsamem położeniu, tylko zamiast drzewa, obejmowały próżnię...

Mmmałat jest cięższy od żółtego człowieka, pod nim drewno zanurza się głębiej. Niech tam! W każdym bądź razie tak utrzymywać się na powierzchni jest lżej i wygodniej.

Rozkazują żywi, nie martwi!

W międzyczasie słońce podniosło się wysoko i zaczęło przypiekać. Ammałata męczyło pragnienie. Bezbrzeżna przestrzeń wody, której nie można pić, zwiększała cierpienia.

Z tęsknotą obserwował rozpalonym wzrokiem przestrzeń wód. Najmniejszego punkciku! Ani dymku, ani żagla, któryby błysnął, jak skrzydło fantastycznego ptaka... Niczego nie widać!..

A gdy słońce w zenicie niemiłosiernie zaczęło prażyć, martwy ocean zaiskrzył się nagle oślepiającemi barwami. Z jego głębin wyrastały całe miasta, całe flotylle pięknych, pomalowanych i złoconych galer, a na nich czerwone żagle, czarnoskórzy niewolnicy i niewypowiedzianie piękne kobiety we wschodnich strojach. Wachlarze ze strusich i pawich piór tak wielkie, że można byłoby niemi przykryć najwspanialsze łoże małżeńskie...

I to wszystko tak blisko, tak blisko błyszczy i drży.

Napróżno wołając pomocy, Ammałat wytęża głos do zachrypnięcia, do utraty przytomności.

Nieruchomi są, jak posągi, czarni niewolnicy.

Piękne kobiety obojętnie przyglądają się w metalowych lustrach, podtrzymywanych przez służebnice, nad niemi unoszą się i opadają kolosalne wachlarze z pawich i strusich piór, dając cień i ochłodę.

Nadęły się żagle, długie wiosła, poruszane przez czarnych niewolników, zakutych w łańcuchy, wzburzyły wodę, galery majestatycznie odpłynęły...

Stary, siwy murzyn w starej pyjamie, niegdyś eleganckiej, obecnie zniszczonej i brudnej, zaproponował w jakimś języku, stanowiącym straszną mieszaninę angielskiego z francuskim:

— Może trochę rumu? Rum daje sił. Troszeczkę. Ten murzyn, uśmiechający się dobrodusznie i opleciona trzciną flaszka, stanowili pierwsze po ocknięciu się wrażenia Ammałata.

W ciasnej kabinie, na wąskiem, drewnianem łóżku, leżał pod grubym wełnianym kocem.

Kabina ruszała się, podnosiła i opadała, a razem z nią i Ammałat, i stary murzyn w pyjamie i flaszka z rumem.

Przez otwarty iluminator wpadały ze świeżym wiaterkiem ciężkie odgłosy pracujących maszyn.

— Gdzie jestem? — zapytał Ammałat.

— Na okręcie „Epir". Wyłowiliśmy pana na otwartym oceanie. Pan był zupełnie nieprzytomny. Gospodarz kazał mi pielęgnować pana. Natarłem pana spirytusem, to nie przedstawiało trudności. Nie trzeba było rozbierać, gdyż pan był zupełnie goły. Tak gruntownie natarłem mocnym spirytusem! Potem wlałem panu do ust dobry łyk jamajskiego rumu. Pan przespał, jeśli się nie mylę, ośmnaście godzin. Jeszcze trochę rumu i będzie zupełnie dobrze... Mówię to, jako specjalista, gdyż jestem trochę felczerem, aczkolwiek tu, na „Epirze" jestem tylko skromnym pomocnikiem kucharza: skrobię kartofle itd. Z tego jednak zzupełnie nie wynika, ażebym nie mógł gotować samodzielnie...

I murzyn ze swoją kędzierzawą siwizną, i jego pyjama, pamiętająca lepsze czasy i dobrotliwe gadulstwo, i pomieszanie felczerskiej mądrości ze struganiem kartofli, wszystko to wprawiało chana Mugańskiego w przemiły nastrój, wywołując uśmiech na jego twarzy.

Po ostatnich przejściach, po halucynacjach, po kawałku masztu, po tem, jak każdej chwili mógł podążyć za żółtym annamitą — leżenie w kabinie pod kocem i słuchanie paplaniny murzyna było wielką rozkoszą.

— Czy doprawdy przespałem aż 18 godzin?

— Tak panie... Innemu i toby nie pomogło, ale pan ma żelazny organizm. A ponieważ i posiadacze żelaznych organizmów jedzą, jak wszyscy — przeto: coby pan zjadł? Mogę służyć podegrzanem mięsem z konserw i groszkiem, podsmażonemi kartoflami z cebulą, jest też i ryba. A ja się nazywam „Czarny Lucien"... Teraz wyblakłem, z czasem i stałem się jakoś brudno - szarym. Ale nazwa pozostała... Ludzie się zmieniają, nazwy pozostają. Czarny, więc czarny! Idę po jedzenie... Trochę rumu?

„Trochę" w ustach Luciena było pojęciem warunkowem. Z bulgotaniem napełnił szklankę rumem. Ammałat dwoma czy trzema łykami opróżnił szklankę.

Niewypowiedzianie przyjemne ciepło rozeszło się po całym organiźmie, odświeżyło go i napełniło czemś ożywiającem, a mózg zaczął lepiej pracować. Pojawił się apetyt. Czarny Lucien, mrugnąwszy okiem po przyjacielsku, drobnym kroczkiem poszedł po konserwy z groszkiem.

Ale dwuch minut nawet Ammałat nie pozostał w liczbie pojedyńczej.

Ktoś bez ceremonii kopnął drzwi, które otwarły się szeroko.

Wszedł wysoki, starszy mężczyzna w swetrze i w marynarskiej czapce, niedbale zadartej.

Brwi miał szerokie, oczy czarne, policzki rumiane. Wygolona broda odznaczała się jaskrawosinym odcieniem. Nos wielki i garbaty.

Wszystko to robiło wrażenie teatralnej charakteryzacji. A zwłaszcza tak się charakteryzują aktorzy na ludzi Bliskiego Wschodu: Greków, Ormian, Lewantyńców.

Włożywszy ręce do kieszeń czarnych, sukiennych portek, i kołysząc się na obcasach, nieznajomy patrzał na leżącego. Spojrzenie jego bynajmniej nie było ani życzliwe, ani przyjemne.

Ammałat odpowiedział spojrzeniem, wyrażającem zdziwienie.

Mężczyzna z „naturalną charakteryzacją" zapytał taką mową francuską, jaką zazwyczaj mówią ludzie o jego powierzchowności:

— Pan mnie nie poznaje?

— Nie, mam przyjemność widzieć pana poraz pierwszy...

— Proszę sobie dobrze przypomnieć, czy tak jest w rzeczywistości!

— Niewątpliwie! Nawet po przelotnem spotkaniu, pana nie można zapomnieć, takie rysy pozostają na zawsze w pamięci...

Człowiek w swetrze tupnął nogą, na twarzy pojawił się gniew:

— Dość tej komedii, za dużo dobrego! Zawsze mówiłem i będę mówił, że egzystuje prawo odwetu, egzystuje! Kilka lat szukałem pana, by odwdzięczyć się wedle zasług. I oto — ślepy przypadek oddaje pana w moje ręce! Teraz już nie ujdzie pan sprawiedliwości! Ale przed wyprawieniem pana do wszystkich djabłów, którzy już dawno czekają, użyję sobie na panu... Mimo, że pan już zna Ajaksa Pecano, jednak nie wie pan jeszcze, jak daleko są posunięte jego zdolności wynalazcze w dziedzinie tortur. Mam tu zresztą pierwszorzędnych profesorów tego przedmiotu! A teraz — grać otwarcie! Karty na stół! Czekam!

— Pan długo będzie musiał czekać, miłościwy panie! — spokojnie odparł Ammałat. W innych warunkach byłbym skłonny, że pan chce mnie szantażować! Ale stwierdzam tylko, że moje podobieństwo z kimś wprowadza pana w błąd...

— Dość tego bałaganu! I tym razem już zupełnie poważnie! — podniósł głos Ajaks Pecano. Wiem, że na całym świecie nie znajdę, bodaj, podobnie bezczelnego łotra, ażeby darował panu, ale, mój złoty, tego już za dużo!

Zrazu z zaciekawieniem obserwujący to wszystko Ammałat wreszcie wybuchnął i podniósłszy się na łóżku, rzucił nieznajomemu:

— Pan uratował mi życie, jestem dłużnikiem pana, ale niema pan prawa krzyczeć na mnie! Zrozumiano? Pana podejrzenia są bzdurstwem! Ja pana nie znam, nigdy nie spotykałem i żadnych starych porachunków między nami nie może być! Za kogo pan mnie bierze?

— O bogi! On sam się jeszcze pyta! Odważ się pan tylko zaprzeczyć, że nie jesteś baronem Pinelli! Przynajmniej tak nazywał pan siebie cztery lata temu w Szanghaju! A jaką nazwę pan teraz sobie nadał — djabli raczą wiedzieć!

— Łaskawy panie! Oznajmiam panu: całe życie uczciwie i dumnie nosiłem swoje własne nazwisko. Baronem Pinellim nigdy siebie nie nazywałem, — w Szanghaju nigdy nie byłem i znam to miasto z powieści i filmów... Mam nadzieję, że pan jest zadowolony?

— Bynajmniej!

Ammałat pomyślał mimo woli:

„Ach ten jamajski rum, ten eliksir życia! Jak wówczas ten koniak, którym częstował mnie w więzieniu jednooki cyklop Barradas...

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

## *Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie*

**Niedziela, dnia 25 października 1936 r.**

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Torunia 12.03 Poranek symfoniczny (z Krakowa); 14.30 Polacy i zagraniczni revellersi (płyty) 15.15 Moje zwierzątko — pog. dla dzieci 15.30 Audycja dla dzieci 16.30 Fragment słuchowiskowy z dramatu p. t. „Hamlet w Wittenberdze" 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 19.00 „Maszyna a literatura" — szkic literacki 19.20 Muzyka salonowa (płyty) 20.00 Koncert organizowany przez Pomorskie Towarzystwo Muzyczne 21.10 Na wesołej lwowskiej fali 22.00 Uciekła nam przepióreczka — audycja muzyczna ze Lwowa 22.40 Muzyka taneczna.

**Poniedziałek, dnia 26 października 1936 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Miniatury instrumentalne 12.40 „Po co istnieje poradnia dla matek" — pog. 15.15 Muzyka lekka i taneczna 15.55 Wszystkiego po trochu 16.15 „Nowa pisownia" — wskazówki praktyczne 16.30 „Z popularnych operetek" — orkiestra wojskowa 17.00 „Staszic i Kołłątaj" — odczyt 17.15 Muzyka kameralna 18.50 „O zarządzaniu gospodarstwem" — pog. 19.00 Audycja muzyczna pt. „Kopanie ziemniaków" 19.30 Muzyka salonowa 21.00 „Sprzedam kamień" — oryginalna humoreska radiowa 21.45 „Współczesne ballady" — w wyk. J. Godlewskiej (śpiew) 22.00 Koncert symfoniczny 23.00 Muzyka taneczna.

**Wtorek, dnia 27 października 1936 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Mała Orkiestra Polskiego Radia 15.15 Tańce stylizowane francuskich kompozytorów (płyty) 16.30 Orkiestra Polskiego Radia pod dyr. Mieczysława Mierzejewskiego 17.00 Kobieta w zawodzie prawniczym — pog. 17.15 Druga audycja z cyklu „Sonaty Beethovena" 17.35 Transm. z Warszawskiego Konserwatorium 17.50 Pisze powieść — monolog J. Ciecierskiego 19.00 Dyskutujmy „Rekord czy zdrowie" 19.20 Potpourri z operetek Fr. Lehara w wyk. ork. Tad. Seredyńskiego (ze Lwowa) 20.00 Rozmowa muzyka ze słuchaczem radia 20.15 Marion Andersen w swoim repertuarze (płyty) 20.50 „Il Maestro di Capella" — opera F. Paer'a (transmisja z Turynu).

**Środa, dnia 28 października 1936 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Amelita Galli—Curci I Teodor Szalapin (płyty) 15.15 Koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R. 16.10 Złotousty chłopiec" — aud. dla dzieci starszych 17.00 „Ustrój państw nowoczesnych, a obrona narodowa" — „Rosja" 17.15 Koncert solistów 17.50 „Wielkie dni Pasteur'a" 19.20 Muzyka lekka 19.50 Koncert z udziałem Tadeusza Łuczaja 21.00 „Opowieść o Chopinie" — Wieczór II „Sielskie dzieciństwo 21.30 Jan Nepomucen Hummel: Septet op. 74 d-moll 22.00 „Jesień", montaż literacko-muzyczny 22.30 Koncert z udziałem Lucyny Szczepańskiej.

**Czwartek, dnia 29 października 1936 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek dla młodzieży szkół powszechnych 12.03 Koncert popularny w wyk. Orkiestry K.P.W. 15.15 „Zespoły operowe" (płyty) 16.35 Koncert w wyk. Orkiestry Sym. P. R. 17.00 „Robotnik w Niemczech" — reportaż 19.00 Recital fortepianowy. Wykonawca Fritz Hans Rehhold 19.35 Koncert muzyki lekkiej i tanecznej 21.00 III-cia audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich" 22.10 Muzyka lekka i taneczna.

**Piątek, dnia 30 października 1936 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Kompozycje Fr. Liszta 15.15 Muzyka lekka 16.30 Koncert solistów 17.00 „Od Guadarramy do Madrytu" — odczyt 17.15 Koncert Małej Ork. P. R. 19.00 „Wielka obecność" — opow. zaduszkowe 19.20 Z pieśnią po kraju 19.45 Fragment operowy 20.00 Koncert symf. w wyk. Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Warszawskiej pod dyr. Georges'a Georgescu 22.30 „S. O. S." skecz Fryderyka Porgesa 22.45 Muzyka taneczna.

**Sobota, dnia 31 października 1936 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 Śpiewajmy piosenki 12.03 Pieśni (płyty) 14.30 Teatr Wyobr. dla dzieci „O tem jak Kubek i Wiktor uratowali pana Longinusa od śmierci" 15.15 Kapela ludowa F. Dzierżanowskiego 16.15 Fragmenty mniej znanych oper 17.00 Koncert solistów 18.00 Audycja z okazji „Dnia Oszczędności" 19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy: „Hej, hej, do kniej" 19.30 Koncert rozrywkowy (z Wilna) 21.00 „Wesele" — Stanisława Wyspiańskiego 22.00 Sergiusz Rachmaninow: Wariacje fortepianowe na temat Corolliego 22.30 Koncert Orkiestry P. R.

## HUMOR

*Wziął go*

X. pisze list w kawiarni. Y. siedzący obok czyta mu wszystko przez ramię. Wreszcie X. zniecierpliwiony, kończy list tak:

„... Pisałbym ci, droga żono więcej, ale przeszkadza mi w tem jakiś wielki dureń, który zagląda mi przez ramię".

Y. odszedł.

SZUKAM posady do biura, składu, ucznia ogrodniczego, lub tym p. Piszę na maszynie. Zgłoszenia do Działu Ogłoszeń „Moje Powieści" pod „Biedny Leszek".



## NASTĘPNY NUMER „MOICH POWIEŚCI"

z datą na dzień 1 listopada wyjdzie już kilka dni przed pierwszym. Celem uniknięcia przerwy w dostawie pierwszych egzemplarzy „Moich Powieści" w miesiącu listopadzie, należy przedpłatę uskutecznić jeszcze w ciągu bież. tygodnia.

**PRZEDPŁATA MIESIĘCZNA WYNOSI TYLKO 1 ZŁOTY.**




PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJĄ Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.
Wystarczy adresować:
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.